

odgłosy

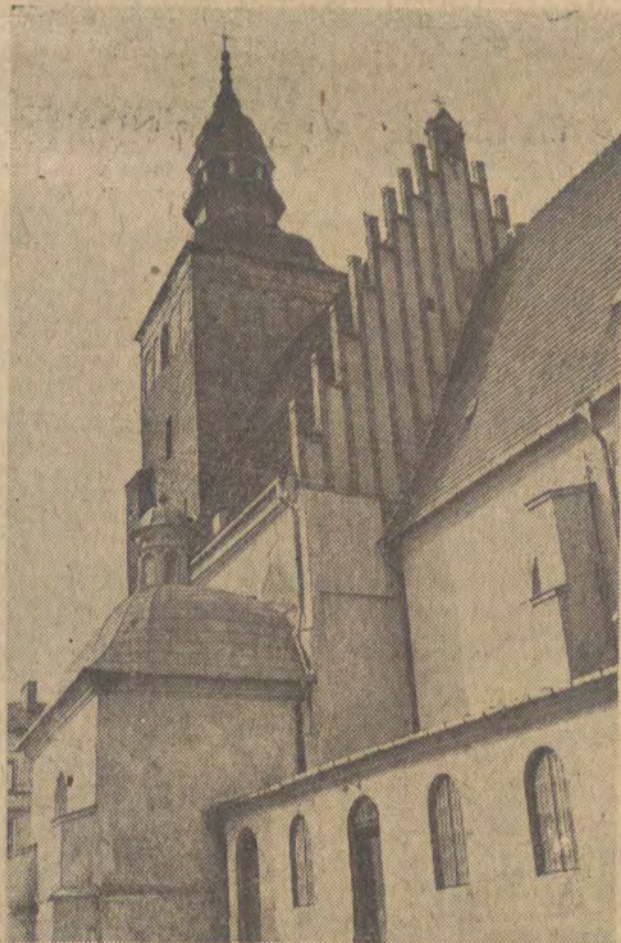
TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 12 czerwca 1960 r.
Nr 23 (119) Cena 1 zł

ZCYKU: *Województwo najbliższe*

ANDRZEJ BRYCHT

Intymności małego świata



1.

Starsza pani opowiada, słucha młody redaktor powiatowej gazety:

„Mieszkałam z koleżanką w pokoju z kuchnią, razem 25 m², koleżanka umarła, jacyś ludzie zajęli mieszkanie, kiedy wróciłam z pogrzebu, moje rzeczy stały na ulicy, padał deszcz. To było w roku 1957. Wniosłam rzeczy spowrotem, zamieszkałam w kuchni, lecz, gdy na drugi dzień wyszłam do pracy, znowu rzeczy wyniesiono, wniosłam z powrotem...”

Starsza pani opowiada o bojętnym głosie, lecz płynnie, jej wzrok i zachowanie nie zdradzały afektu, młody redaktor kiwa uprzejmie, głó-

wa. Zna całą historię doskonale, bo teraz jest rok 1960.

„Zróbcie coś — powiada starsza pani — pomóżcie, tamci ludzie grożą mi śmiercią...”

„Do widzenia” — powiada nagle i wychodzi.

Młody redaktor milczy przez chwilę, wreszcie zaczyna mi tłumaczyć głosem pełnym skruchy, oczyszcza się z cudzych win.

„Interweniuje od trzech lat co kilka dni, ale bez skutku? Komenda milicji może eksmitować tamtych lokatorów tylko na wyraźne żądanie kwaterek, a kwaterynek uzależniony jest w tej sprawie od samego prze-

TE SAMĄ MISS, ale powiększoną, znajdziecie na str. 12. Czytajcie także strony 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11,



wodniczącego PRN — który to przewodniczący nie chce zająć należytego stanowiska wobec oczywistej niesprawie długości z tej przyczyny, że cała historia miała początek za kadencji poprzedniego przewodniczącego. Co zaś do osoby kierownika wydziału kwaterunkowego, to cieszy się on w mieście złą popularnością, ot, choćby taki przykładzik: miał ów kierownik dwa pokoje w starym budownictwie, po śmierci żony zamienił na dwa pokoje w nowym bloku, no, temu się dziwić nie można. Ale oto pod koniec ubiegłego roku wpływa pismo z MRN do przedsiębiorstwa wykonującego nowy dom, z żądaniem, by przygotowano na pierwszym piętrze trypokojowe mieszkanie dla obywatela X, obciążonego czworogięm dziećmi, i oczywiście żoną. Cóż za specjalne względy dla ob. X! Ten nowy dom składał się wyłącznie z dwupokojowych lokali! Trzeba było przebić ściany, zmieniać instalacje, itd. Obywatel X objął mieszkanie, umeblował, kupił pianino. Niestety, niedługo mieszkał w tym dużym specjalnie dla niego zbudowanym mieszkaniu. Po dwóch miesiącach następuje zamiana: wielodzietny obywatel X otrzymuje dwa pokoje — zaś dotychczasowy lokator, właśnie kierownik kwaterunku, samotny szczęśliwiec, zajmuje trypokojowy apartament na pierwszym piętrze, z pianinem! Obywatel X tłumaczył później, że miał tyle rzeczy do przewiezienia, że mu jakos pianino „z głowy wypadło”. A sytuacja mieszkaniowa w mieście ciężka, ludzie się burzą, a pan kierownik dalej spełnia swoje funkcje *).

Więc jak tu pomóc starszej, samotnej kobiecie?”

2.

Jest w tym mieście kawiarnia taka, że pozazdrościć jej może każde miasto, już nie Łódź, ale Starówka warszawska. Kraków zmurszały czy Toruń. Siedzę więc tu „Pod Ormianinem” i zastanawiam się nad dziwną prawidłowością reporterskich wycieczek, prawidłowością pierwszych spotkań z miastem. Pisałem kiedyś o Kuluszkach, i też sprawa mieszkania stworzyła reportaż. Może to ja, że mieszkam gdzie nie mam, bardzo na te sprawy czuły — a spoje to jeden z najpoważniejszych problemów małych miast, tych starych, ciasnych miast, obok których wyrastają potężne fabryki i kombinaty?

Tu, w Piotrkowie Trybunalskim: trzy huty szkła — Hortensja, Kara i Feniks; fabryka maszyn górniczych, przeznaczonych głównie na eksport, mających ustaloną markę w świecie: Wola Krzysztoporska, kombinat

chemiczny, barwniki... Ilu ludzi pracuje w tych zakładach, jacy to ludzie?

Chciałbym, żebyście, zrozumieć, na czym polega piotrkowski paradoks. Rola, jaką to miasto spełniało w dawnym świecie, wytworzyła spora warstwę inteligencji o określonym, dość konserwatywnym typie zapamiętania. Ta warstwa ludzi, której przedstawiciele piastowali zasadnicze godności miejskie, wpływała decydująco na tworzenie charakteru miasta, na jego życie towarzyskie i kulturalne. Piotrków znany był ze swej tradycji, konserwatywnej i sztywnej, z przyjmowania wszelkich nowości z dużą słamazarną dostojenstwem.

Tak, bo kiedyś w tym mieście liczył się sąd pana sędziego, pana doktora, pana mecenasa, aptekarza, wreszcie — to oni byli radnymi, ich aprobacje musiały podlegać najmniej nawet istotne zmiany na terenie miasta. A dziś? Mówi Kamil Jaszczynski, redaktor „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”:

„Dziś w MRN pracują inni ludzie. Są rzecznikami postępu w sprawach kultury naszego miasta, pomagają młodym, którzy pragną coś nowego zrobić. Przewodniczącym Komisji Kultury MRN jest ob. Marian Ajzert, kierowniczką Wydziału Kul-

* Doszły mnie wiadomości, że sprawą tą zajęła się już prokuratura.

Dokończenie
na str.
5

STANISŁAW DYGAT

Uwielbiam SPORT

Odpowiadam na ankietę nie znając dokładnie jej tematu, ani nie czytając argumentów ewentualnych przeciwników. To nie jest nonszalancja, ani lekceważenie. Nie potrafiłem nigdy pisać na zadany temat i w szkole miałem zawsze dwójkę z wypracowań. Przez konieczność pisania na zadany temat dwukrotnie zostawałem z polskiego na drugi rok w tej samej klasie. Raz dawno przed wojną w klasie piątej, a potem już po wojnie, jakieś dziesięć lat temu.

Mamy mówić o sporcie. To zupełnie wystarcza. Co mam do powiedzenia, powiem. Bez względu na szcze gółowy temat będzie to w każdym wypadku to samo.

Przeciwnicy sportu śmieją się. Nie dlatego, abym sam był sportu fanatykiem. To oni są fanatykami antysportu i tym swoim fanatyzmem ośmieszają się. Są właściwie głęboko dotknięci i obrażeni faktem, że świat pasjonuje się rzutem dyskiem kopaniem piłki i skakanie przez płotki, a absolutnie nie zwraca uwagi na to co robią oni — ci fanatyczni antysportowcy.

Przeciwnicy sportu są nadąsanymi młodzianami, którzy, pewien tego jestem, moralnie maltretują w domu rodzinę, wyładowując swoje niemrawe kompleksy. Szalenie wżruszające są enuncjacje klepskich pisarzy, bladających nad tym, że Pietrzykowski albo Lewandowski nosi się na rękach, a na nich nikt nie zwraca uwagi. Tak samo pretensje, że sportowcy wyjeżdżają za granicę, a powiedzmy naukowcy znacznie mniej. Oczywiście jestem za tym aby naukowcy, pisarze, artyści wyjeżdżali jak najwięcej za granicę. Ale to nie ma absolutnie związku z wiazdami sportowców.

Sport jest w XX wieku rozrywka mas nr 1. Na to nikt nic nie poradzi, i to się nie zmieni. Sport stał się swojego rodzaju zawodem i to zawodem wymagającym talentu i pracowitości. Ażebym przebiec 100 metrów w 10.2 sek. nie można nikomu się podliznąć, albo skokietaować prasę. Aby zaś rozłożyć Hamleta a zyskać sobie sta-



Zdjęcia: J. Głowacki



Obchodzą w tym roku dziesięciolecie istnienia, choć zapomniane i nie fetowane jubileuszami. Można łatwo naliczyć że w Łodzi jest ich 18. Handlują kamieniami do zapalniczek po 40 groszy i futrami po 40 tysięcy złotych. Nagromadzone u bogiej dziewczyny i wyrocznia tuzinkowej elegancji. Ułatwiają życie tysiącom niedostępnym w handlu państwowym drobiazgow. Wielu ludzi zawdzięcza im swoje jednorodzinno-domkowe fortuny zbudowane na długopisach i szminkach w relacji 200 — 500 złotych za dolar. Przystanie wdów, wyprzedających rodzinne zasoby, przubytki w których wracają się koszty zagranicznych wycieczek — oto współczesne lombardy, ukryte pod skromnym szyldem „Komis”.

ANDRZEJ BORKOWSKI

SPOTKAMY



JACEK LEBEN

BICZ i UKŁON

Lato jest już w pełni, ale w polityce międzynarodowej nie znosi się absolutnie na ogórki. Każdy niemal dzień dostarcza nowej bardzo kalorycznej strawy obserwatorom wydarzeń międzynarodowych. W ostatnim tygodniu taką strawą najwyższej jakości okazały się nowe radzieckie propozycje rozbrojeniowe. Wagi tych propozycji nie można nie doceniać, i to zarówno ze względu na ich treść, jak i na moment ich zgłoszenia. Zgłoszenie przez Związek Radziecki nowych propozycji rozbrojeniowych w pół miesiąca po zawałeniu się „szczytu” urasta do rangi symbolu. Oznacza to przecież nie innego jak potwierdzenie w czynie słów Chruszczowa, że Związek Radziecki nie zamierza zejść z drogi walki o pokojowe współistnienie.

Są to zresztą zapewne propozycje, które znajdowały się w walizce, którą premier Chruszczow przywiózł do Paryża. W Paryżu walka z władzami powiodła się nie została rozpakowana. Zaczęto ją teraz rozpakowywać. Plan radziecki znów zakłada nie częściowe lecz maksymalne cele. Dotyczy powszechnego i całkowitego rozbrojenia. W zestawieniu z tym planem znów do rangi symbolu urasta zapowiedź prasy zachodniej na temat amerykańskiego planu „czarnej trumny”. Do tych czarnych trumien mają być wkładane ładunki nuklearne, ale bynajmniej nie w celu ich pogrzebania na wieki, lecz po to, by wybuchły w tych trumnach pod ziemią. Przedstawiciele Związku Radzieckiego mają mieć możliwość obejrzenia trumny z zewnątrz. W ten sposób

Amerikanie próbują rozwiązać problem międzynarodowej inspekcji podziemnych wybuchów termojądrowych, a więc jednak wybuchów w trumnach czy bez.

Mimo historycznego klimatu, jaki bije z lamów znacznej części prasy zachodniej, musiano dostrzec na Zachodzie wiele niesłychanie pozytywnych akcentów radzieckich propozycji. Bład Związku Radzieckiego znów wychodzi na przeciw zachodnim zastrzeżeniom zgłoszonym wobec poprzedniego radzieckiego planu rozbrojeniowego z 19 września minionego roku. W planie radzieckim znalazły więc odbicie propozycje prezydenta de Gaulle'a dotyczące zniszczenia środków służących do przewożenia broni jądrowej. Jest to ukłon o wielkim znaczeniu. Po drugie, Związek Radziecki wyraża zgodę na utworzenie sił policyjnych, które działając pod kontrolą Rady Bezpieczeństwa czuwałyby nad respektowaniem porozumień rozbrojeniowych. Poza tym zrezygnowano z twardego obstawiania przy czteroletnim terminie rozbrojenia, który Zachód uważa za nierealny. Dyplomatyczny korespondent „Timesa” pisze: „Jasne jest, że został dokonany wysiłek dla usunięcia zastrzeżeń w stosunku do propozycji przedstawionych przez Chruszczowa w październiku ub. roku — propozycji, które w zasadzie były podtrzymywane przez cały czas przez radziecką delegację w Genewie. Mówiono o tamtych propozycjach, że zawierały nieprecyzyjne informacje dotyczące kontroli. Obecne propozycje naprawia to do pewnego stopnia. Mówiono także, że poprzednie propozycje radzieckie pozostawiały świat po rozbrojeniu jedynie z wewnętrznymi siłami bezpieczeństwa należącymi do rozmaitych państw, które byłyby w praktyce pozostawione na łaskę silnego państwa policyjnego. Proponując międzynarodowe siły policyjne plan radziecki przejmuje w zasadzie część ostatnich propozycji zachodnich. Może to mieć cele propagandowe. Ale patrząc na bardzo długi okres można by to uznać za wspaniały kamień milowy”.

Ala czas wrócić już do uzasadnienia tytułu. Otóż znaczna część zachodnich dzienników stwierdza, że znaczenie radzieckich propozycji podważone zostało przez ostry ton wypowiedzi Chruszczowa na konferencji prasowej, skierowany pod adresem zachodnich przywódców, a przede wszystkim pod adresem Eisenhowera, Nixona i Adenauera, a więc tak popularny na zachodzie termin, którym określa się radziecką politykę

Nasza szkoła

Objechałem wszystkie nasze dolnośląskie uzdrowiska. Galopem — tak że jeszcze mam zadyszkę. Nie szkodzi. Podróżę uczą, nie tuczą.

Nie goniłem za sensacją. I nie ujrzałem „strasznych rzeczy”. Nie trafiłem na „afery” i „skandale”, czy pomniejsze egzemplarze bałaganu, nieudolności, niszczenia i tym podobne tematy. Wprost przeciwnie. Objechałem dokumentnie pewien cud. Autentyczny, materialny i rodzimy.

W ciągu trzech ostatnich lat energiczni nasi dolnośląscy współobywatele zrobili ze sławnych „Badów”, znanych naszym babkom ze słyszenia, a socjologicznie europejskiej z bywania, absolutnie polski i absolutnie zapoznany (to ostatnie to nie ich „zasługa”) cud. Można powiedzieć: perły, więcej — „sznur pereł”. Mówię to poważnie, bez emfazy, świadom tego, iż żartowistowi mowa taka nie przystoi. Oczywiście, można i to wcale nie na upartej znaleźć w owych perłach skazy. Niemniej jest coś, co mi nie pozwala pisać o inicjatywie dolnośląskich działaczy beznamieennie.

Ilość sanatoriów i miejsc w nich przewyższa poniemiecką szchedę. Liczba zabiegów udzielanych obecnie w uzdrowiskach w porównaniu z latami międzywojennymi ma się jak powiedzmy traktor do kobyłki. W takim Łądku-Zdroju dawano w 1932 r. 86 tys. zabiegów, za naszego panowania, w jednym roku 1956, dano ich 380 tysięcy. Ongi w owych uzdrowiskach ordynowali prywatni badenarzy, dziś są to nowoczesne ośrodki nie mające nic wspólnego z medycyną charłakniczą. Kieruje nimi lekarza kadra specjalistów. Dysponują oni nie tylko naturalnymi bagażnikami zdrojowymi, ale i nowoczesną aparaturą, współpracującą też z czołowymi klinikami kraju.

O tym, że dolnośląskie źródła stały się własnością użytkowaną przez ludzi pracy co zasadniczo zmieniło „twarz” dawnych ekskluzywnych Badów — mówić nie będę. Jeżeli struktura społeczna kuracjuszy tych uzdrowisk przedstawia się tak, że w pewnych zdrojach (np. w Kudowie, Polanicy, Łądku) przeważają procentowo pracownicy umysłowi, a w innych (np. Szczawnym) fizycy — to wynika to nie koniecznie z kumoterstwa. W zasadzie powoduje to profil leczniczy poszczególnych uzdrowisk, tudzież tzw. wskazania lekarskie i przeciwwskazania. Wiadomo, że

gryźliwoci cierpią na zaburzenia krążenia, a nie na pilyć krzemową.

Dbalosc o zachowanie prawidłowej struktury społecznej oraz sensowne funkcje sanatoriów nie jest gospodarzom dolnośląskich Zdrojów obca. Narzekają oni np. na to, iż traktuje się u nas wciąż sanatoria jak szpitale. Narzekają słusznie. Szpital — to szpital, winien leczyć obciążone choroby. Uzdrowisko to uzdrowisko, ma ono likwidować początki schorzenia, zapobiegać jego rozwojowi bądź rehabilitować chorego, który się

czyna widzieć i odczuwać, iż żyje z tego zdrowotnego „interesu”.

Ruch porządkowy i inwestycyjny jest tu wielki, roboty pełne ręki, nie mówiąc już o kłodach pod nogami. Mimo, że przewodniczący miejskich i powiatowych rad nareduowych, dyrektorzy uzdrowisk i ośrodków FWP mają tzw. wspólny język, idą lawą i energicznie swe działania koordynują — nie wszędzie ta koordynacja im „wychodzi”. Bo jak wiadomo u nas mnogo jest partierów do koordynacji.

PODRÓŻE UCZĄ, ŻE NIE TUCZĄ

do tego nadaje. Oznacza to inną niż potoczna koncepcję sanatorium i miejscowości uzdrowiskowej. Nie izolowany od świata zakład kąpielowy, ale miejsce gdzie się bierze pod kontrolę lekarza zabieg, a poza tym normalnie żyje. Stąd też wysiłki dolnośląskich pasjonatów zmierzają do tego, by miejscowości zdrojowe były miastami spełniającymi rozliczne funkcje z rozrykowo-gastronomicznymi włącznie. Stąd też rewolucja, jaka się w dolnośląskich kurortach od trzech lat dzieje.

Możliwa ona była dzięki zrozumieniu, że interesy sanatoriów i miast, w których się one znajdują, są nierozdzielne. Że bogactwa naturalne w postaci wód, klimatu i krajobrazu są tym, co region ma najlepszego do racjonalnego eksploataowania. Dla dobra ludności miejscowej i kraju. Działania gospodarcze są więc przez wszystkie przedstawicielstwa lokalnej władzy koordynowane. Temu należy przypisać, że Zdroje przybrały piękny wystrój plastyczny, wzbogaciły się o nowe obiekty usługowe, kawiarnie, kluby, że kuka się o następne inwestycje, że porządkuje się z dużymi trudnościami drogi, kanalizację, że wspólnymi siłami wymienia się stare prymitywne urządzenia z czasów Cesarza, które bynajmniej nie najlepiej świadczą o oszczędności jego poddanych. Wszystko to sprawia że stała ludność miejscowości uzdrowiskowych za-

Oto na przykład stan dróg w dolnośląskim zagłębiu zdrowia i turystyki jest zgłębnie opłakany. 9-tonowe „Tatry” z 10-tonowymi ładunkami drzewa rujnują asfalt bez pardonu. Nie ma siły aby koordynator w osobie Ministerstwa Leśnictwa nakazał podległemu sobie przedsiębiorstwu zaniechanie przewózki drzewa w po-



bliżu ujęcia źródła „Wielkiej Pieniawy”, które w wyniku wstrząsów może się któregoś pięknego dnia zawalić. Co gorsza nie ma nawet siły, która by zmusiła przedsiębiorstwo transportu leśnego do partycypowania w kosztach kensercacji bądź naprawy dróg i mostów. Wprawdzie dzielni gospodarze terenu stawiają znaki zakazu komunikacyjnego dla ciężkich wozów, i w ten sposób walczą z kawalerskim transportem drzewa surowym m. in. po międzynarodowej autostradzie Medlican — Maska, ale trudno przy każdym mostku

Eleganckie francuskie swetry i wyleniale futra, zagraniczne kosmetyki w barwnych opakowaniach, telewizory i porcelanowe pleski, malunki w złoczonych ramach i archaiczne maszyny do pisania, odległe od siebie o półwiecze aparaty fotograficzne — wszystko to sąsiaduje ze sobą na wystawie sklepu komisowego, wywołując wrażenie egzotyizmu.

Stoją więc ludziska z nosami przyklejonymi do szyby nieraz przez długie kwadransy i oglądają cudniaka. Pociąga ich nie tylko atrakcyjny towar zagraniczny — zatrzymują się, urzeczeni mnogością i różnorodnością

i co kilometr postawić milicjanta.

Albo taka kłoda. Duszniki pełną parą szykują Festiwal Chopinowski. Tym razem prawdziwy (16 z kolei! — przyczynę do zagadnień sta bilizacji) dyrektor uzdrowiska p. Laniewski umyślił urządzić tę imprezę na europejską skalę. Jest w stanie przyjąć w czasie festiwalu 400 gości w tym 200 zagranicznych. Bardzo by pragnął widzieć zwłaszcza tych ostatnich. Bo to i stawa polskich Dusznik i dewizy. Cóż z tego, kiedy większy pan dyrektor „Orbisu” w Warszawie (resort komunikacji) z dyrektorem Dusznik przybył do stolicy w celu finalizacji zaфиксовanych umów, w ogóle nie chce rozmawiać.

Mili moi! To nie jest fakt incydentalny. To jest koordynacja. Dzięki niej przez autostradę sudecką nie zatrzymawszy się na ziemi kłodzkiej nie obejrzą sławnych ongi a dziś zastępujących stokród bardziej na tę sławę kurortów umyka w sezonie 16 tys. turystów zagranicznych. Stracone szanse reklamowe, nie mówiąc o dolarach.

W gruncie rzeczy głupia sprawa dogadania się z dyktarzem centralnego szczebla. Mniejsza nawet niż sprawa z szaletem. Do niedawna na punkcie granicznym wspomnianego autostrady (Słone k/Kudowy) nie było szaletu. Zagranicznicy załatwiający formalności tranzytowe chodzili w krzakach. Zdarzały się więc nielegalne, acz mimowolne przekroczenia granicy czechoskiej. Trafiło się i pewnej Wysokiej O sobie z Warszawy. Na szczęście. W końcu bowiem powstało szalec. Więcej, gospodarze ziemi kłodzkiej uznali, iż Polska się na nim nie zaczyna. Zbudowano w domu ku campingowemu kłosek, w którym handluje teraz PZMo i stację benzynową CPN, dająca od zagranicznych ciężkie dewizy. Na zrobienie obiektu (jakiegoś motelu, restauracji) świadczy cego, że Polska leży w Europie i reklamującego pobliskie perły uzdrowiskowe na razie nie starczyło środków.

Wszystko to dzieje się w warunkach koordynacji (która na szczeblu wojewódzkim i powiatowym wygląda owszem, owszem) po podjęciu uchwały KERM w sprawie rozwoju uzdrowisk oraz w roku 1960, kiedy obowiązuje ustawa uzdrowiskowa z roku pańskiego 1922, a projekt nowej do Sejmu wciąż nie wpływa.

Nie tracmy nadziei. Mamy „sznur pereł” dolnośląskich. Jedźcie na ziemię kłodzką, bystrzycką i jeleniogórską. Podróżę uczą, że nie tuczą. Przynajmniej nas, dewizami od zagraniczników.

BELFER

(Dokończenie na str. 4)

przedmiotów, jak pasjonująca niewiadoma, odczytują „okazyjne” ceny.

Na całym świecie handel rzeczami używanymi, starzyzną i tandetą, został zepchnięty na dalekie przedmieścia i praktycznie przestał odgrywać jakąkolwiek rolę w zaopatrzeniu. Słynny paryski „marche au puils” to raczej zabawa dla maniaków, kolekcjonerów i kombinatorów.

U nas inaczej — komisje są specjalnym „resortem” aparatu handlowego, posiadają rozległą sieć wyspecja-

dochodzą czasem do 20 zł. Niebawem karierę mają za sobą francuskie swetry, które z roboczego przyodziewku tamtejszego robotnika czy ekspedientki awansowały u nas na szczyty elegancji. Nie chciała tego jednak zrozumieć Państwowa Komisja Cen, która w roku ubiegłym ustaliła najwyższą cenę takiego swetra na 550 złotych. W związku z tym przez cały rok ubiegły do łódzkich sklepów komisowych nie napłynął ani jeden egzemplarz tego rodzaju. „Ciociu kochana, dziękujemy za te 50 sweterków, które nam przysłałaś, już nam wystarczy — przyszłyj teraz tusz do rzęs, marki...

się niegrzecznie i ustaliła górną granicę ceny, lub gdy Bank PKO zwiędziony złudnym mirażem powodzenia artykułu podniesie jego cenę dolarową (z tego ostatniego powodu np. znikają już z komisów „Matadory”, atrament „Waterman” czy pasta „Colgat”.

Czasem też wysycha jakieś „zródełko”. Minął oto wzmożony okres repatriacji z ZSRR i trudno już o kaprony czy „duchi”.

Ustabilizowana sytuacja skłoniła aparat komisowy do odstąpienia od tradycyjnej formy pośrednictwa handlowego. Obecnie do 25 proc. towarów komisje skupują po-

trzebowanie i teraz długo muszą czekać na amatora. Natomiast jak woda idą „ręcznie malowane” obrazy (broń Boże przed reprodukcjami!), o „znormalizowanych” wymiarach 80x60 i cenie nie wyższej niż 500 złotych. Nabywają je przeważnie młode małżeństwa jako dodatek do dywanu. Dziś właśnie „autentyczny” obraz w domu staje się niejako symbolem dorobku i pewnego poziomu kultury. Dominuje pejzaż i „tematyka marynistyczna”, ale to już niewątpliwie krok naprzód od jelenia na rykowisku. Ów neutralny

złoty. Dziś już jednak nie te czasy, trzeba kontentować się skromną kwotą 40 milionów. Bo to i konkurencja krajowej produkcji coraz bardziej zagraża i ludzi coraz mniej forsują w odzieniu. Telewizor? Proszę bardzo. Postoj trzy dni i zmienia właściciela.

Zwiedzałem łódzkie komisje — te podupadłe, miesiącami deficytowe, na bocznych uliczkach i te rozkwitłe, w pełni powodzenia, z tłumem klientów — jak

SIĘ W LOMBARDZIE

lizowanych placówek, scentralizowane kierownictwo dalekosiejęne, plany i milionowe obroty.

Bo też zgola inna i znacznie bardziej wszechstronna jest ich rola. Pośrednictwo w sprzedaży przedmiotów używanych to tylko nie wielki wycinek ich działalności. Głównie zajmują się one sprzedażą rzeczy nowych, które powinny znajdować się w „normalnym” handlu. Powinny — coż kiedy ich brak.

Tak więc sklepy komisowe odgrywają rolę podwójną. Po pierwsze — stanowią uzupełnienie ospałego systemu dystrybucji, po drugie dopiero są antykwariatami różności, graciarniami zbędnych częściej przedmiotów.

Do sklepiku handlarza starzyzną często miesiacami nie zagląda żaden klient — a w sklepach komisowych zawsze wielki ruch. Każdy sklep łódzki przyjmuje codziennie towarów na sumę do 50 tysięcy złotych. W ciągu tygodnia do „Lotosu” przy ul. Piotrkowskiej dostarczone np. ponad tysiąc płaszczy nieprzemakalnych z folii (jedna sztuka za dolara w PKO).

Z panem Rostkowskim, kierownikiem owego „Lotosu” wiemy o tajemnicach handlu komisowego, przerywana telefonami i wizytami dostawców.

Czasem jest to skromna kobieta, która zostawia okulary za sto złotych, a posiada elektroniczną maszynki do golenia, innym razem przybysz ze stolicy z walizką wypakowaną pokazną porcją „szamponów”.

Szampony, wiadomo, interes znakomity — jeśli wziąć pod uwagę oficjalną relację pieniądza, to na Zachodzie kosztują one mniej niż złotówkę sztuka. U nas ceny

Idź. Z ciocia jakoś to będzie, ale co na przykład ma zrobić Bank PKO, który zaopatrzył się w większą ilość dzianego artykułu? Poszło w buble, bo nikomu już się nie oplaca. Poza tym skończyła się moda — ludzie przestawiają się na bardziej „cywilizowaną” elegancję.

W ciągu dziesięciolecia komis wvrobili sobie stałą armię dostawców. Sporadyczne wypadki pozbywania się „nietypowych” przedmiotów używanych nie przekraczają 25 proc. obrotu. Reszta to artykuły nowe, napływające z trzech zasadniczych źródeł: Banku PKO, paczek od rodzin za granicą i od „turystów”. Nie tu nie stanowi niewiadomej. Dostawcy doskonale orientują się jaki towar jest chodliwy i jaki popłaca. Czasem tylko następują kataklizmy — gdy rodzimy przemysł wypuści wreszcie jakiś artykuł dotychczas dostępny tylko z „importu przeciekającego”, gdy Komisja Cen zachowa

prostu od dostawców, gdyż istnieje stuprocentowa pewność ich sprzedania.

Procesowi skupu podlegają głównie artykuły galanterijno-kosmetyczne. Trudno się dziwić — w tej dziedzinie nasza własna produkcja jest niezwykle uboga. Oddając świadectwo prawdzie, trzeba stwierdzić, że szereg artykułów tego rodzaju, mimo wygórowanej ceny, zaliczyć dziś trzeba do rzędu przedmiotów codziennego użytku.

Zasadniczym przeznaczeniem artykułu komisowego pozostaje jednak wciąż „nadzwyczajna okazja”. Świadczy o tym choćby wzmożony ruch przed popularniejszymi imiennami czy przed świętami (np. przeciętny obrót „Lotosu” wynosi 300 tys. zł miesięcznie, podczas gdy w grudniu wzrasta do 800 tysięcy).

Tak więc, wnioskuje do końca, w orbicie komisów

Pewien profesor Wyższej Szkoły Ekonomicznej odwiedza komisję, zbierając informacje na temat działania prawopytu i podaży, niezwykłe tu jaskrawych.

Inny z naukowców re-alizuje tam wyłącznie prywatne hobby — kupuje każdy nowy typ aparatu do golenia by po krótkim czasie odsprzedać go i zabrać się za próbowanie następnego.

Komplety „Stella” (pióro i dwa długopisy w etui) są dziś niezwykle popularne. Mało kto wie, że ich import zapoczątkował pewien reemigrant, z Kanady, który w drodze powrotnej do kraju wstąpiwszy do Niemiec, utopił w „Stellach” cały uciulany na emigracji majątek. Podobno nieźle na tym wyszedł.

Pokazywano mi w jednym z komisów pismo z Wydziału Finansowego z prośbą o sprzedanie 80 sztuk długopisów zagranicznych. Jak się okazuje, Wydział Finansowy, który solidnie dobiera się do skóry potentatom zaopatrującym komisję, nie może się bez nich obejść.

wspomniany „Lotos”. Obserwowałem transakcje z klientami, zawierane przez speców w rodzaju pana Rostkowskiego czy p. Leszczyńskiego. Smutno to zjawisko — handel komisowy — smutne i żenujące. Obnaża narodową skłonność do kombinatorstwa, faniutkie snobowanie się na zagraniczny bucik czy szminkę, konieczność ponoszenia przez nabywcę wygórowanych kosztów głupiego proszku DDT czy kremu przeciwko poceniu którymś to drobiazgowi wciąż nie potrafi wyprodukować nasz przemysł.

Jedno wszakże obok szeregu innych zalet właściwe jest specjalnie komisom — umiejętność prowadzenia in teresu, giętkość i dostosowywanie się do potrzeb. Wysię że mają to na uwadze w branży komisowej wszyscy, od dyrektora poczynając na ekspedientce kończąc Sład uprzejmość i cierpliwość wobec klienta, rzadko gdzie indziej w handlu sportykana.

Co napisawszy kończę i odklejam nos od witryny.

ZDJĘCIA:
Leon
Olejniczak





JERZY DAGOBERT

Maria Luiza Augusta Ingram przybyła z Niemiec do Anglii w roku 1922. Stosunkowo szybko nawiązała znajomość z sierżantem lotnictwa i wyszła za niego. Ale to było małżeństwo na... niby. Rzecz w tym, że za „drobną” oblata 100 funtów sierżant zezwolił się na ślub, aby w kilka tygodni, otrzymawszy następnie 100 funtów... rozwiść się. Natomiast trojga imion Ingram miała zapewnić obywatelstwo angielskie. I jako obywatelka Wielkiej Brytanii mogła starać się o stałą posadę. Wybrała pracę... „pomocy do wszystkiego” w rodzinie wyśokiego oficera marynarki wojennej.

Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe: wywiad Scotland Yardu doskonale orientował się, że co najmniej czterysta z tysiąca niemieckich dziewcząt czy pań, które przyjeły pracę w domach angielskich jako pokojówki, kucharki, odziewierne, czy też „panny do wszystkiego”, były na służbie niemieckiego wywiadu. Ale z iście angielską fleemą tolerowano ten stan. Nie było bowiem ustawy pozwalającej na usuwanie miejscowych obywateli angielskich poza granice Wielkiej Brytanii. Chyba, że udowodniono im przestępstwo. Wówczas czekało ich więzienie. Ale panny do wszystkiego działały ostrożnie...

WERBUNEK

Pewnego wiosennego dnia 1940 roku w domu, w którym pracowała pani Ingram rozpoczął się gruntowny remont. Domem zawiadnęła pani malarz. Z jednym z nich Maria Ingram wszczęła rozmowę.

— To straszne, ta wojna doprowadza do szaleń. Zebym rząd nie potrafił rozprawić się z komunistami, Żydami i masonami!...

— Czyżby oni byli winni wojnie?

— A także inaczej! Oni i ich poplecznik — Churchill.

— Czy pani nie przesadza?

— mruknął malarz.

— Na pewno nie. Patrz pan, do czego doprowadzili. Gdyby tak oddał władzę sir Oswaldowi Moslewi!...

— Może, może...
— Niech pan pójdzie na zebranie na Trafalgar Street we wtorek lub w piątek. Usłyszysz pan i przekona się...

Tego dnia malarz opuścił dom angielskiego komandora, mając w kieszeni adres sekretarza jednej z organizacji Mosley-owskich.

Ale zanim udał się pod wskazany adres, odwiedził komisariat policji w swoim rejonie. I od tej chwili wszystko co wykonywał, działało się za zgodą i inspirowaniem specjalnego wydziału Scotland Yardu. W pracy wywiadu portowego zagadnienia koncentrowała się przede wszystkim na trzech sprawach: jakie okręty znajdują się na morzu, jaki jest rodzaj ich ładunków i jaka jest ilość transportów wojskowych.

Pani Ingram była dumna z tego, że od dłuższego czasu udawało się jej przekazywać do Niemiec szereg informacji. Rozmowy w domu komandora prowadzono na o-

A. Ingram. William Swift i sekretarz angielskiej faszystowskiej organizacji. Akt oskarżenia zarzucał im współpracę z wrogiem.

Bezczelność i tupet Marii Ingram była niesłychana. Sale sądowa wykorzystana dla faszystowskiej propagandy.

— Nic sobie nie robię z waszego sądu. W ciągu miesiąca będę wolna. Bo w tym czasie nad Londynem powieść będzie sztandar ze swastyką! — wołała Ingram.

— Czy prawda jest, że Swift oświadczył, iż jedynym człowiekiem z którym chce rozmawiać Hitler jest sir Oswald Mosley? — zapytał przewodniczący sądu.

— Tak — powiedział sędziak i dodał, że w wypadku zwycięstwa hitlerowców sir Mosley zostanie premierem Anglii.

William Swift tłumaczył się najwinnie.

— Przecież do czasu mego aresztowania organizacja

Dziewczęta do wszystkiego

gół dość głośno. Ponadto Ingram miała narzeczonego. Był nim niejaki William Swift, pracownik w porcie wojennym w Portsmouth. Trzeba przyznać, że była dobra naręczona. Dbała o swego chłopca, nie żalowała mu ani ubrań, ani podarków, ani gotówki. A chłopak wiele widział, słyszał, i co najmniej ważniejsze, umiał o tym wszystkim dokładnie opowiadać.

A malarz? Ten stał się nie tylko sympatykiem faszystów angielskich. Od wychwalania ruchu mosleyowskiego do aktywnego w nim udziału był jeden krok. I ten krok uczynił. Dotarł do rozmaitych i licznych legalnych i nielegalnych komórek faszystowskich, poznał ludzi, ich plany, zamysły. Dostrzegł do sprzysiężenia, które miało na celu udzielić pomocy hitlerowcom, gdy rozpoczyna inwazję na Anglię.

I w tym właśnie okresie, gdy spiskowcy łada dzień oczekiwali sygnału radiowego, mającego nadać datę inwazji hitlerowskiej, na scenę wkroczył Scotland Yard.

PROCES

29 czerwca 1940 r. przed londyńskim sądem Old Bailey zasiadła trójka: Maria L.

Mosleya była legalna! Wicelnicy zeznać nie czyniliem, sympatyzować z nią i będąc jej aktywnym członkiem...

Przewód sądowy wykazał, że Maria Luiza Augusta Ingram była córka... dyrektora kolei niemieckich, a jej szwagrem był oficer hitlerowskiego sztabu generalnego.

10 lat więzienia dla pani Ingram. 14 lat więzienia dla Williama Swifta, uniewinnienie dla sekretarza organizacji z powodu braku dowodów winy — tak brzmiał wyrok sądu.

Opuszczając sale sądu Maria Ingram krzyknęła: „Śmiechu wart taki wyrok... za kilka tygodni będę wolna. Heil Hitler!”

Sekretarz organizacji mosleyowskiej został internowany.

Dopiero po wojnie, w roku 1946 parlament angielski uchwalił ustawę, która znosiła automatyczne przyznawanie obywatelstwa w wyniku małżeństwa.

Ten sukces Scotland Yardu nad kobietą-zbiegiem należał do łatwiejszych. A o trudniejszych, bardziej skomplikowanych — za tydzień.



Bicz i ukłon

(Dokończenie ze str. 2)

jako politykę „bicia i ukłonów” znów znalazł usprawiedliwienie i powszechne zastosowanie.

Zachodni publicyści, którzy używają tego terminu usłużą oczywiście dowiedzieć, że bicz przekreśla ukłon. Wydaje się, że warto temu poświęcić nieco uwagi.

Nie trzeba chyba wyjaś-

niać, że natura uzbroidła człowieka — istotę myślącą, w możliwości wyrażania mimiki czy gestem swoich myśli i uczuć. Chyba najbardziej rasowy ze wszystkich rasowych dyplomatów nie umiałby się uśmiechać w momencie gdyby ktoś podkutym butem nadepnął mu na odcisk.

W osłaniam tygodniu premier Chruszczow dał dowód, że prowadzi politykę „bicia i ukłonu”, ale nie w tym sensie, jaki próbują insynuować reakcyjni publicyści Zachodu.

Bicz w postaci decyzji, że siły rakietowe Związku Radzieckiego uderzą w bazy w wypadku gdy wstąpią z nich samoloty do agresywnych lotów nad Związek Radziecki, bicz w postaci

ostrych słów pod adresem przywódców zachodnich jest wymierzony w stronę tych kół na Zachodzie, które robią wszystko, by wrócić do stanu zimnej wojny i które by skwapliwie wykorzystywały każdy dowód słabości i braku konsekwencji w polityce Związku Radzieckiego.

Uklon w postaci nowych radzieckich propozycji rozbrownionych skierowany jest do tych kół na Zachodzie, u których, miejmy nadzieję, rozsądek ludzi interesu zdoła zatrumfować nad zimmowojennym zacietrzewieniem.

W ten sposób komentowana polityka „bicia i ukłonu” jest dobrą i moralną polityką.

JACEK LEBEN

PORTRET pobieżny

Jest jedna rzecz, która zastanawia, kiedy próbujemy przyjrzeć się drodze twórczej poety. Jest to jego stosunek do życia. Inaczej rozumie „życie” Szolochow, kiedy mówi o słabych stronach współczesnej literatury i przychylny słabości upatruje w tym, że pisarze „nie znają życia”, „stracili więź z życiem”, a inaczej np. Charles du Bos, zmarły w 39 roku katolicki krytyk francuski. Obydwaj jednak powiadają o nierozważnym związku literatury z życiem, który można by sprowadzić do znanego powiedzenia o zwierciadle odbijającym i utrwalaającym „rzeczy świata tego”.

Twórczość Piechala odbija przede wszystkim życie miasta. Miasta, które nie znalazło dotychczas za wielu piewców. Można to miasto fotografować z różnych stron. Można mocno zafalszować, jak to uczynił Kosciakiewicz w swojej „Bawelnie”. Można zobaczyć w nim tylko dżunglę, w której wszyscy walczą ze wszystkimi dżunglę „olbrzymich fabryk, których długie cielska i wysmukłe szyje — kominny majaczące w nocy, w mgłę i deszczu... oddychają klebammi dymów...”, niedobra „Ziemią obiecana”. Można je obejrzeć z perspektywy historycznej. Rzadko które miasto ma tak ciekawą historię. W roku 1793 to półwieś półmiasto liczyło 44 domy i 191 mieszkańców; siedziba powiatu staje się dopiero w 1867; w 1897 liczymy w nim 52 procent analfabetów; w 38 roku mieszka już w nim około siedmiuset tysięcy ludzi i nie ma ani jednej wyższej uczelni oprócz Oddziału Wolnej Wszechnicy grupującej 527 słuchaczy...

Dla Piechala miasto — to przed, wszystkim ludzie. Ludzie z kręgu rodziny, tkacze, robotnicy. Cives sine suffragio... Pewnego rodzaju kolonia krajowa — jak napisze do „Wiadomości Literackich” — teren eksploatacji fizycznych i umysłowych zasobów ludzkich. Ci, o których mówił Tuwim, uważany przez Piechala za nauczyciela poetów łódzkich, że „macie dla kogo pisać w Łodzi”.

Międzywojenna historia Łodzi jest dramatyczna. W tych trudnych czasach Piechal umiał usłyszeć „wołanie miasta”. W 1931 roku z pomocą Tuwima dochodził w Łodzi do utworzenia „Prądów”, pisma o zdecydowanie lewicowym kierunku. Po czterech numerach „Prądy” przestały wychodzić zakazane przez rządową cenzurę. W 36 roku wybuchła w Łodzi głośny strajk włókniaarzy. „Wychodzące w Warszawie „Nowe Pismo” — wspomina Piechal — zwróciło się wtedy do nas z propozycją, aby łódzcy pisarze wypowiedzieli się w sprawie strajku na specjalnie udzielonej im kolumnie. Kolumna taka ukazała się „gęsto jednak świecąca białymi plamami po skonfiskowanych naszych utworach. Tuwim widocznie czytał ten przetrzebiony numer „Nowego Pisma”, bo oto na moje ręce przysyła wkrótce fragment VIII napisanego wtedy, rozpalonego od gniewu „Balu w operze”... Niestety, było już za późno — strajk się skończył, skończyło się także „Nowe Pismo”.

Marian Piechal debiutował w roku 1929. Pierwsza książka syna łódzkiego tkacza nosi tytuł „Krzyk z miasta”. Widzimy w niej m. in. takie wiersze jak „Strajk”, „W rytmie maszyn”, „Wenus fabryczna”, „Plac Wolności w Łodzi”, które nie można teraz nazwać inaczej jak swojego rodzaju kroniką tamtego czasu. W 31 wydała „Elegie całopalne”. W 32 wychodzi „Garść popiołu”,

ŁÓDZIANIE 1960



Marian Piechal... jako lektor własnych utworów

... tym czasie współpracuje z lubelskimi „Barykadam”. Pisze o tym K. W. Zawadzki w „Roczniku Literackim” z 32 roku: „Ośrodek poezji rewolucyjnej Lublina „Barykady”. Niektóre nazwiska współpracowników jak M. Piechal (który w tym roku wydał piękny poemacik o ofiarnych ratownikach zbiorów dzikowskich z pożaru tp. „Garść popiołu”, nieco monotony w żalobnym patosie, „odny jednak szlachetności i siła ekspresji autora „Elegie całopalnych”) mówilby o wysokim poziomie



...jako prelegent



...jako czikos (ujeżdżacz dzikich rumaków) na puszczy węgierskiej w 1956 r.



jako koczujący pasterz kóz i owiec na bezkresnych stepach Mongolii

organu... „W tymże Roczniku Stefan Kolaczowski pisze, że wśród „obiecujących młodych” wyróżnia się Marian Piechal.

W roku 36 ukazuje się „Srebrna waga”. Rok 36, na którego horyzoncie już widać chmury nadciągającej burzy wojennej, w Polsce zaznacza się usztywnieniem życia politycznego. „Zwątpienie jak truczna myśl bezradna nęka” — wyznaje Piechal. „Coraz dłuższa się za mną smuga mroków ściele...” Nie wiem, czy można ocenić to wyznanie w ten sposób, że smuga mroków zaciemniała w tym okresie „ostrość widzenia klasowego” poety. Moim zdaniem, jest to zbyt ryzykowne twierdzenie. Zwątpienie może się wkręcać do serca najgorętszego. Zwątpienie jest także formą protestu.

Ale powojenni krytycy będą już pisać o „aktywnej postawie” poety wobec rzeczywistości, o chęci „jak najszybszego podążania za życiem, które nie zawsze pozwala przeżyć do głębi”. My, oczywiście nie będziemy się teraz bawić w analizę formalną wierszy. Nie dociekamy w tej chwili, w których wierszach przemawia Piechal — „polityk”, a gdzie „przemieszkuje czysty liryk prowadzący nas, jakby powiedział Norwid, „w abstrakcyjne krainy niedocie-

czonego wiatku”. Nie mówimy o całej drodze poetyckiej Mariana Piechala (Piechal jest także autorem dramatów, cietym publicystą i satyrykiem), bo ta droga jest jeszcze nie zakończona. Nagroda literacka Łodzi w 54 roku była uwieńczeniem pierwszego tylko odcinka, chociaż odcinka długiego i bogatego (25 lat pracy twórczej).

Kreśląc pobieżny portret Piechala w serii „Łódzianie 1960” zwracamy uwagę na jedną rzecz. Przed Tuwimem nie było w Łodzi zorganizowanego środowiska literackiego. Pierwszym piewcą Łodzi (i jedynym) był Artur Gliścieński (poeta i dziennikarz, autor tomu poezji „Z mroku i dymu” (1901). Serię łódzkich poetów zapoczątkował Tuwim, który — jak pisał w 49 roku do Prezydenta Łodzi z okazji przyznania mu nagrody literackiej — chce współpracować twórczo z polską klasą robotniczą dlatego, że uczył go gniewu i protestu łódzkie ulice, łódzka nędza, gruźlica, cera łódzkich dzieci robotniczych. Piechal należy do tych poetów, których nauczycielem był Tuwim i którzy pierwsi próbowali zorganizować życie literackie rodzinnego miasta.

Tekst: P.
Zdjęcia: Archiwum domowe



Dalszy ciąg ze str. 1.

tury ob. Szymańska — ci ludzie wydanie przyczynili się do powstania paru ważnych inicjatyw kulturalnych. Przy ich pomocy zorganizowano pierwszy w historii Piotrkowa Trybunalskiego kabaret muzyczno-satyryczny — „Papuga”.

3.

Co to jest „Papuga”? Jest to zespół piętnastu osób, o zainteresowaniach niemalże wszechstronnych, które to osoby zapragnęły dawać publicznie wyraz swoim poglądom na aktualne, obchodzące całą społeczność piotrkowską sprawy. Zespół powstał przy Studium Nauczycielskim w lutym 1958 roku. Dziś już „artyści” pokonali studia, a więc nie ma żadnych podstaw, by Studium opiekowało się nadal zespołem. Jednak opiekuje się dalej, i nie samo: Inspektorat zdołał przydzielić pracę członkom zespołu na terenie Piotrkowa, byle „Papuga” nie zdechła. ZSP obdarzyło ich jakąś małą dotacją, małe ceny biletów też jakąś dziurę latają, a niedawno za numer satyryczny o restauracji „Europa” Komitet Antyalkoholowy wypłacił około dziesięciu tysięcy. „Papuga” „obstawia” również „artystycznie” różne imprezy o charakterze okolicznościowym: tu jakaś recytacja, tu skecz...

Ale w rzeczy samej — czym jest ten zespół, o którym głośno w Piotrkowie, który obraża miejskie świętości, razi uszy oficjalnej dośrodkowej frywolnością z zaskakującym podtekstem? Czyż to teksty, wygłoszone publicznie stają się sensacją dnia w szacownym mieście?

Teksty piszą: Zdzisław Kaczmarek — nauczyciel i twórca „Papugi”, Jerzy Sobczyk — student, Lech Kociński — przewodniczący Komisji Kultury w ZMS, piszą poeci: Lucyna Bruchnańska, Kamil Jaszczynski — tomiki ich wierszy mają ukazać się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Więc? „Ballada na cześć pomnika”. Efekt? Sprawa sądowa. „ZBoWiD” skarży „Papuga” o zniesławienie pamięci bohaterów, którym się stawia pomnik. A „Papuga” na to: „to wy zniesławiacie pamięć bohaterów, stawiając im taką koszmarną chałę! Nikt nie ma przeciw pomnikowi, ale pomnik musi być dziełem sztuki, i nie kpiemy z idei pomnika, tylko z was, którzy nie mając pojęcia o sztuce zgadzacie się na zakup pomysłu od przygodnego pacykarza, i — mało — projektujecie ustawienie „dzieła” tuż obok szaletu miejskiego, tak, by w kilka dni po odsłonięciu cały Piotrków śmiał się z... „baru pod pomnikiem”!

Argumenty druzgocące, trzeba przyznać. I — co najważniejsze — miasto bierze je pod uwagę. Stara, tradycyjna inteligencja piotrkowska może i szemrze, ale po cichu, w mieszkaniach swoich, odkąd główna baza spotkań, kawiarnia przy skwerku, jest w remoncie. Doktor, fotograf, mecenas i aptekarz mieli tam swoje stałe stoliki, gdzie od kilkadziesiąt lat walczyli te same problemy świata. A dziś przychodzą czasem na występy „Papugi” — lecz nikt nie wie, co o tym myśli, podsłuchać nie można, kawiarnia zamknięta. O kawiarnię toczy się bój. Nie o lokal — o nazwę. Specjalne zebrania radnych, na których jedna grupa to „nowocześni”, druga „konserwatyści”. Oto występuje reprezentant „nowoczesnych”: „Obywatele radni! Dość już zaścianka! Dość prowincji! Kawiarnia nasza, po remoncie, to powiew Europy! Ta kawiarnia musi mieć nazwę, odpowiadającą duchowi czasu, nazwę nawiązującą do współczesności, liczymy się z tym, że gród nasz odwiedzą cudzoziemcy! Nasza kawiarnia musi

nazywać się: „Cafe Mozaika”!

Brawa, syki, zamieszanie.

Wstaje reprezentant „konserwatywnych”.

„Europa, Europa — powiada — obywatele radni, a Piotrków Piotrkowem. Miasto nawiązkę polskie, i nie można pozwolić, żeby obce naleciałości niszczyły ten nasz... tego... folklor. Nasza kawiarnia musi nazywać się Krakowianka!”

Brawa, syki. Maleńkie, polskie Clochemerle. Było kilka posiedzeń, walka trwała kilka tygodni. I jednak...

Piotrków liczy 54.000 mieszkańców. Tyleż samo, co Pabianice, w których ukazują się „Życie Pabianic” o nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy.

Pabianice stać było na umieszczenie pozycji „pismo” w planach budżetowych MRN. Już od dwóch lat „Życie Pabianic” żyje z godziwych i regularnych dotacji. A „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej”? Gdyby nie ogłoszenia i niesłychane zdolności akrobacyjne redaktorów — dawno by uschła bez forsy. Poza tym ten piotrkowski tygodnik, który nie ma na porządne opłacenie porządnego korektora, jest gazetą o wiele lepszą, poruszającą o wiele

czas, czytali sobie swoje własne wiersze, dyskutowali nad nimi, „poprawiali warsztat”. Ale z tego „poprawiania” nic nie wyszło, bo wiadomo: nikt nikogo pisać nie nauczył. To jest jedyna sztuka, której człowiek uczy się sam. Więc zajęli się młodzi ludzie podobną, lecz ciekawszą i pożyteczniejszą działalnością. Od września ubiegłego roku dają odczyty i prelekcje w świetlicach robotniczych, u kolejarzy, w fabrykach, wyjeżdżają w teren, dyskutują na temat literatury z ludźmi, którym rzeczywiście mogą dużo powiedzieć. Ale nie tylko literaturę propagują, bo i „Etyka, cywilizacja a człowiek”, „Młodzież a rzeczywistość”,

nizacyjne” (co za słowo) w szkołach średnich ogólnokształcących. Wszystko to pięknie, ale przypatrzmy się bliżej, na czym polega egzystencja tzw. kół zainteresowań. A no, zbiera się kilku facetów do pracy, siadają do brydża, oglupiają się przez parę godzin z rządu — to już jedno koło. Inni znów fa ceci śleczą parę godzin nad zachownicami. Drugie koło. Znów inni gędzą o wszystkim i niczym przy kawie. Trzecie koło. I tak dalej. Książek tu inteligencja techniczna czyta bardzo mało, prawie wcale. Jak wynika z ankiety, do kina nawet bardzo rzadko chodzi, a kina są dwa w Piotrkowie, jedno nawet pierwszej kate-

lej o pierwszej w kraju amatorskiej operetce z baletem, chórami, orkiestrą i solistkami. To właśnie tu, w piotrkowskim Domu Kultury, którego kierownikiem jest ob. Tadeusz Jankowski nastąpiło to godne upamiętnienia zdarzenie: „Hrabina Marica” przez artystów piotrkowian. Było siedem występów w Piotrkowie kilka wyjazdów na prowincję, niestety, w powiecie są za małe sceny na tego rodzaju monumentalne dzieła. No to oczywiście elita przedwojenna nie opuściła ani jednego spektaklu!

Obecnie przygotowuje się „Wiktorie i jej huzara”, a także „Drogę do Czarnolasu” (to już nie operetka).

Kierownik Domu Kultury ma poważne kłopoty. Idzie o ostatnie zarządzenie Ministra Kultury w sprawie weryfikacji pracowników kultury. Pracownikami domów kultury mogą być ludzie z ukończoną szkołą artystyczną, lub studiami kierunkowymi, a niestety takich ludzi nie ma. Ten wielki piotrkowski Dom kultury bezsprzecznie jeden z najlepiej prowadzonych w województwie, stanowiący integralną część miasta, zostaje bez pracowników. Odchodzi jedna pracownica na emeryturę — kto poprowadzi wszystkie działy? Sam kierownik przyrzaje służność zarządzania ministrami, ale dopiero za trzy cztery lata okaże się jego dobra strona — teraz przysparza wielu ciężkich kłopotów.

8.

Pani Lucyna Bruchnańska pisze wiersze, a że z poezji nikt jeszcze nie wyżył, pracuje w Muzeum Ziemi Piotrkowskiej. Pokazuje różne wykopaliska, niesłychanie ciekawe eksponaty, ale mnie zainteresowały szczególnie dwa: miecz katowski do ścinania głów; na końcu ostrza trzy dziurki, do których przywiązywano ciężarki, żeby cios był mocniejszy — o prymitywna perfidio! I jeszcze: pięknie rzeźbiony uchwyty drewniany, stąd biegnie warkocz skórzany z pentelkami, haczykami, kulkami oliwanymi — to jest pejsz „dobry obyczaj”. Kiedy czołek cechu coś przeszkrobał, zachował się nieprzystojnie, albo kogoś oszukał, wtedy w głównej sali ratusza pejsz „dobry obyczaj” spełnił swój obowiązek. Pani Lucyno, a może by tak pejsz wyjąć z gabloty, odkurzyć i zawiesić na słupie w środku miasta? Byłaby znakomita pointa do pierwszej części mojego reportażu.

9.

„Dlaczego „Intymności” i „małego świata”? Pewien obywatel Piotrkowa udzielał mi informacji w bramie jakiegoś domu, tam się ze mną pożegnał i na ulicę wyszliśmy osobno. „Tu wszyscy się znają, proszę pana, że bym miał, odyby nas zobaczyli razem, to mały świat, to nie Łódź, niestety...”

Myślę, że tak samo mały jak i ziemia mała. A że nie Łódź? Szczęśliwi, którym się wydaje, że gdzie indziej jest przynajmniej... inaczej,



ZAKUKU: Województwo najbliższe

Intymności małego świata



zwyciężyli „nowocześni”. Też symptom.

4.

Brudne schody na piętro, mały pokój, biurko. Redakcja „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”. Dwóch pracowników etatowych: redaktor naczelny, Karbowski, i zastępca, Jaszczynski. Dziesięciu współpracowników. Osem kolumn druku. Nakład dziewięć tysięcy egzemplarzy. Cena 1 zł. Małe zwroty. Mnóstwo błędów korektorskich. Autorzy nie podpisują nazwiskami swych artykułów, bo wstydzą się zniesławień. Mnóstwo listów z terenu, do woły prawdziwej popularności tygodnika. Do czego zmierzam? Otóż

istotniejsze sprawy swojego okręgu, niż pismo pabianickie. Piszę to obiektywnie, bom ani piotrkowianin, ani pabianiczanie zawiedziony w ambicjach.

„Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” prosi o pomoc materialną. Ta pomoc powinna przyjść.

5.

Przy piotrkowskim piśmie istnieje „Trybunał”. To taki klub młodych literatów, przeważnie poetów. I znów te same nazwiska, co przy „Papudze”: Zdzisław Kaczmarek, Jerzy Sobczyk, Kamil Jaszczynski. Lucyna Bruchnańska. Zbierał się ci młodzi ludzie co pewien

„Etyka seksualna” i inne tematy biorą na kowadło.

6.

Wspomniałem na wstępie o młodej inteligencji technicznej i inżynierach trzech hut szkła o inżynierach Fabryki Maszyn Górniczych. Co ci ludzie robią po pracy, jakim rozrywkom poświęcają czas?

Jest w Piotrkowie klub NOT-u mieszczący się w lokalu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Młodzi inżynierowie należą do kół zainteresowań, wygłaszają odczyty na tematy techniczne w szkołach zawodowych, organizują zajęcia „politech-

gorii, filmy zmieniają co tydzień.

Za to raz do roku w karnawale, szmer oburzenia leci przez miasto. Bal NOT-u! Ludność Piotrkowa nosy do szyb przystawia, wylega na ulice. Inżynierowie prowadzą swoje damy. Stroje dam wstrząsają miastem. Dekolty, szpilki, rude i srebrne włosy. Rytm, jazz, confetti. Słyszane to rzeczy? Jak świat światem, a Piotrków Piotrkowem.

7.

Głośno było w całym województwie, ba w Polsce ca-

TEKST:

Andrzej Brycht

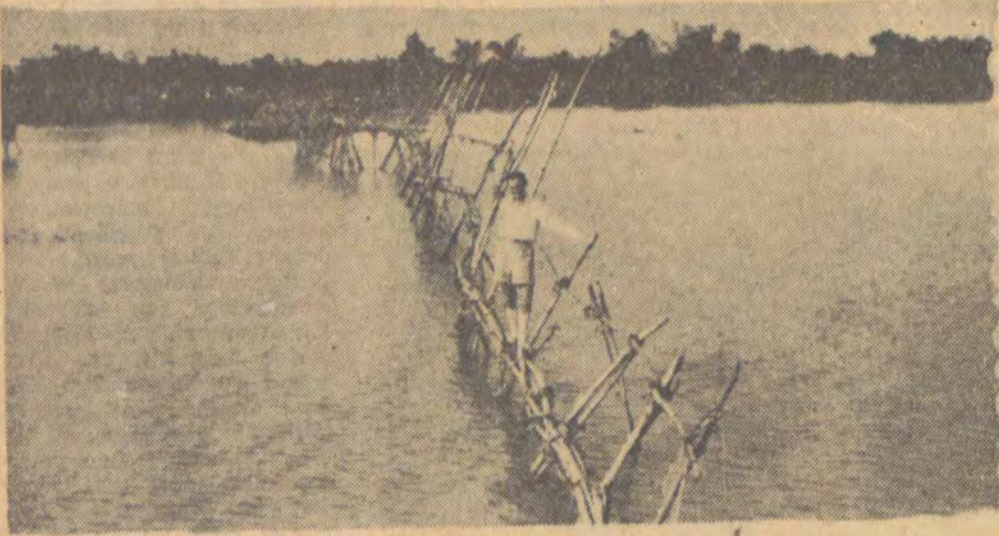
ZDJĘCIA:

J. Głowacki

odgłosy str. 5



Kontrola rzeki Ben-Hai. Na łodzi: hinduski major, polski kapitan i wietnamski oficer z Misji Łącznikowej.



Jedna z tras, po których odbywają się inspekcje grupy. Przedostać się na drugą stronę można tylko po mostku z bambusowych pali.

Z cyklu:

DEMOKRACJA LUDOWA

PO OBU STRONACH

SONG-BEN-HAI

Tekst i zdjęcia:

STANISŁAW GICGIER

Nie ma chyba wśród nas takich, dla których obce byłoby słowo Wietnam. Chociaż mija już szósty rok od zakończenia wojny w Indochinach, nie zatary się w naszej pamięci wiadomości z jej frontów, które wtedy często zapelniały szpalty gazet na całym świecie i rozpoczynały dzienniki radiowe: Cao-Bang, Dien Bien Phu, wkroczenie wojsk ludowych do Hanoi...

Konferencja Genewska z 1954 roku położyła kres wojnie, ale pozostawiła Wietnam jako kraj podzielony na dwie części: północną — ludowo-demokratyczną i południową — pozornie niezależną, a w rzeczywistości coraz mocniej podporządkowaną polityce amerykańskiej. Od tego czasu w Wietnamie prowadzi prace Międzynarodowa Komisja Nadzoru i Kontroli, w której skład wchodzi: Hindusi, Kanadyjczycy i Polacy. Są to prawie jedyni ludzie, którzy mogą swobodnie przekraczać granice obu państw. A to, że grupy inspekcyjne Komisji rozrzucone są po całym Wietnamie, daje jej członkom i pracownikom wyjątkowe wprost możliwości poznania tego egzotycznego kraju.

Dzięki udziałowi Polaki w Komisji Nadzoru i Kontroli, w ostatnich latach przebywało w Wietnamie wielu Polaków — chyba około tysiąca — liczba ogromna jak na tak odległy kraj, niewątpliwie największa, jeśli chodzi o państwa tej części naszego globu. Mimo to dla większości spośród nas jest to wciąż jeszcze kraj nieznan, i chyba każdy chętnie przeczyta o Wietnamie, o jego ludziach ich pracy, zwyczajach, wierzeniach...

Gdyby poprosić kogoś o wymienienie najważniejszej rzeki Wietnamu, niewątpliwie padłaby odpowiedź: Rzeka Czerwona. Ale jest jeszcze inna rzeka, — chociaż mniejsza i mniej nawadniająca pola ryżowe — jednak ważniejsza dzisiaj i bardziej od tamtych znana. Wyglądem swym nie różni się od innych rzek wietnamskich: brzegi jej gęsto porastają krzewy bambusowe, czasem tylko ustępując miejsca białym piaskom, które prowadzą do skrytej wśród kokosowych palm wioski... Ale łodzie rybackie, sampany i dżonki przemykają po niej śpieszniej i jakby z trwogą, jak najbliższej brzegów. I tylko w jednym miejscu wypływają na środek, by przecisnąć się wąskim przesmykiem wśród rdzewiejącej w wodzie, powyginanej żelaznej konstrukcji, która kiedyś była mostem kolejowym dawnej linii Hanoi-Saigon. Nie ma tu ani jednego promu, choć na innych wietnamskich rzekach jest ich tak wiele. I tylko jeden na niej most, most Hien-Luong. Ale od przeszło pięciu lat nie prze-

szedł przez niego ani jeden Wietnamszyk...

Ta rzeka to Ben-Hai — rzeka, która dzieli jeden kraj na dwa różne państwa.

Tu właśnie znalazłem się zaraz po przyjeździe. Tylko dziesięć dni spędziłem w cichym, czystym Hanoi, jeszcze krócej w zatoczonym, pełnym luksusowych samochodów Saigonie i już Gio-Linh: bambusowa wioska, a za nią, na wzgórzu — blaszane baraki — siedziba ruchomej grupy inspekcyjnej. Jeszcze Wietnam Południowy. Ale już kilka kilometrów na północ rozpościera się strefa zdemilitaryzowana.

Więc nie w Hanoi ani nie w Saigonie zetknąłem się naprawdę pierwszy raz z Wietnamem, ale właśnie tu — nad brzegami Song-Ben-Hai.

Był luty i było zimno. Dla człowieka, który dopiero co przyjechał do tropiku — zimno zaskakujące. Temperatura wprawdzie rzadko spada poniżej 12 stopni Celsjusza, ale ogromna wilgotność panująca w powietrzu powodowała, że chłód przenikał dosłownie do kości, wydawało się, że nie ma przed nim ochrony.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że na 17-tym równoleżniku bardzo przydaje się sweter i płaszcz. Najtrudniej chyba znosił ten wilgotny chłód Kanadyjczyk. Major Rand kładł się do łóżka w swetrze, skarpetach i unifor-

mie, na który wciągał jeszcze piżamę. Nakrywał się dwoma kocami i zdarzało się, że rano nie mógł po prostu jechać na kontrolę: „I'm sorry — nie mogłem spać, całą noc trząsałem się z zimna...”

Był początek lutego — za kilka dni miała się zacząć wiosna, a z nią wietnamski nowy rok. W dole, na polach otaczających wioskę, zieleniła się młoda tapioka i maniok, banany miały malutkie zielone owoce. Bliżej rzeki, gdzie docierały kanały nawadniające, na rozległych, zalanych wodą polach, niedawno załanowanych ryż sięgał już do kolan. Pola gęsto poznaczone były okrągłymi kopcami: to groby — większe dorosłych i maleńkie kopczyki — dziecięce.

Cmentarze w Wietnamie widziałem tylko w pobliżu większych miast. Na wsi umarłych grzebie się na polach, gdzie pracowali.

Częsty jest widok wietnamskiego chłopca, który siedzi przy takim właśnie grobie, albo gdzieś na miedzy — z wędką zarzuconą w ryż, tak gęsty, że nie widać już nawet wody, w której tkwią jego łodgi. I ten widok nie spowodował mi do końca pobytu w Wietnamie. I zawsze przychodziło mi na myśl, co powiedziałby nasz rolnik z jakiejś znanej mi podłódzkiej wioski, gdyby usłyszał, że są kraje, gdzie chłopci łowią ryby na polach...

Wietnamszyk nie posługują się — jak my — kalendarzem słonecznym, ale księżycowo-słonecznym. Miesiące, których długość zależy więc od ruchu obrotowego księżyca, liczą zatem po 29 lub 30 dni. Normalny rok składa się z dwunastu miesięcy, ale dla wyrównania różnicy, jaka powstaje między rokiem słonecznym — co dwa lub trzy lata rok liczy 13 miesięcy. Dwanaście lat tworzy zamknięty cykl, w którym każdy rok ma swoją nazwę — jest więc rok szczura, rok bawołu, rok smoka... A ludzie urodzeni w tych latach to ludzie — szczury, ludzie — bawoły, ludzie — smoki i tak dalej.

Nowy Rok — Tet — jest więc świętem ruchomym, przypadającym między 20-tym stycznia a 20-tym lutego. Jest to największe święto Wietnamszyków: święto odnowy, święto nadejścia wiosny, święto żywych i umarłych, których kult stanowi tu podstawę większości wierzeń i obrzędów. Przygotowania do święta trwają kilka tygod-

ni — odnawia się domy, spłaca długi. Pierwsza ceremonia ma miejsce na tydzień przed świętem: mieszkańcy ofiarowują duchowi opiekunemu swego domu, udającemu się do pana niebios z raportem o dobrych i złych uczynkach każdej rodziny, żywność na drogę: herbatę i konfitury, papierowe ubranie, ale bez spodni i — rybe, na której duch udaje się w podróż. Duch powróci dopiero ostatniego dnia roku witany z tym samym ceremoniałem, z jakim był żegnany.

W nocy ostatniego dnia roku cała rodzina czuwa. Palać się lampa i wybuchy petard ploszą sen. Głowa rodziny składa duchom przodków noworoczne ofiary: kubek herbaty, kwiaty, czystą wodę i kubek wietnamskiej wódki ryżowej sum-sum. O północy następuje kulminacyjny moment święta: przyświecenie nowego roku. Senior rodziny ubrany w święte stroje klęka przed bogato zdobionym ołtarzykiem, żegna Boga mijającego roku i wita rok nowy, składając mu życzenia. Potem — rozpoczyna się uczta.

Pierwszy dzień nowego roku poświęcony jest wzytym i składaniu życzeń. Dzieci otrzymują podarki i pieniądze w czerwonej kopercie, zawsze sumę nieparzystą. Następne dni upływają na odwiedzeniu pagód, oglądaniu przedstawień, zabawach. Noworoczne święto kończy się złożeniem pożegnań ofiar duchom przodków.

Tak więc kończył się właśnie stary rok — Rok Psa. Zbliżało się wielkie święto TET. Przygotowywano się do niego po obu stronach rzeki. Najlepiej można było przyrzec się temu podczas kontroli przeprowadzanych przez grupę co dzień dziesiątymi, tak w północnym jak i w południowym pasie strefy zdemilitaryzowanej.

Grupa zaczęła otrzymywać wtedy na północy ogromną ilość petycji. W osadach i wioskach, przez które przejeżdżaliśmy, nawet na drogach zatrzymywały nas gromady ludzi, podając dziesiątki kartek wyrwanych z zeszytu lub z jakiegoś opakowania. Mówili przy tym o krewnych, żonach, dzieciach z rzeka, od których nie mają wiadomości od czterech lat... Ale najczęściej o strzechach chat i widocznych na drugim brzegu grobach przodków, które wołają ich w dniu święta Tet.

Nawet w czasie kontroli rzeką — to samo.

Grupa ludzi: wchodzą po kolana w wodę wymachując kartkami petycji. Proszą Komisję o pomoc, o interwencję, która umożliwiłaby choćby wysyłanie listów. A z obu stron rzeki przemawiają wielkie transparenty: ten z południa woła wielkimi literami — „W dniu naszego święta pamiętajmy o rodakach na północy, którzy muszą żyć pod jarzmem komunistycznym!”. A ten z północy odpowiada: „Nam Bac Mot Nha” — „Południe i północ pod jednym dachem”.

W wigilię nowego roku grupa została zaproszona na przyjęcie do szefa przygranicznej prowincji Południowego Wietnamu Kuang-Tri, w której znajduje się Gio-Linh.

Jedziemy. Ale już w najbliższym miasteczku — Dong-Ha — przerwa. Zaczyna się właśnie świąteczna defilada wojskowa. Cóż — nie można przejechać — trzeba obejrzeć.

Na trybunie, na honorowym miejscu — amerykańscy doradcy wojskowi, obok — miejscowi dostojnicy. Orkiestra gra marsza z filmu „Most na rzecze Kwai”. Dyrygent co chwile podrzuca pałeczkę, chwytając w powietrze i okręca dookoła ręki. Ale to okazuje się niczym w porównaniu z popisami przechodzących oddziałów piechoty: karabiny po prostu furkoczą po ramionach i barkach żołnierzy, nikt nie ma pleców, wirują wokół dłoni. Wydaje się, że to oddziały cyrkowców... Z trudem wstrzymuję się od śmiechu.

Dopiero stojący obok mnie major Rand wyjaśnia mi, że to rodzaj musztry wprowadzony na wzór ćwiczeń w armii amerykańskiej. Ma on doprowadzić żołnierza do jak najlepszego władania bronią, do takiej znajomości swojego karabinu, aby w ciemności, samym dotykiem poznał, że ten właśnie należy do niego.

Przerwa nie trwa długo, — nie minęło pół godziny i jedziemy dalej. Wszędzie odświętne nastroje: ludzie ubrani inaczej — czystiej, schludniej; widoczne z drogi wnętrza chat są posprzątane, stoły zastawione. Kuang-Tri aż się trzęsie od huków — w każdym ogródku, przed każdym domem wybuchają petardy...

Szef prowincji, „jego ekscelencja” przyjmuje grupę sam. Służący pojawiają się i znikają jak cienie, napełniając kieliszki mszalnym burgundem. Jego ekscelencja nie pije, pociąga tylko co chwile z ogromnej fajki wodnej ustawionej przed nim na specjalnym stoliku.

Rozmowa co chwile utyka na martwym punkcie. Szef prowincji próbuje przychylnie nastawić grupę do siebie. Stara się wyjaśnić, dlaczego nie przyjął życzeń noworocznych od władz przyległej prowincji Północnego Wietnamu, dlaczego nie zezwolił na przekazanie dzieciom w swojej prowincji paczek z noworocznymi upominkami przysyłanych z północy — oczywiście za pośrednictwem Komisji. Członkowie grupy mają swoje opinie o tych sprawach, ale to jest przecież przyjęcie, są tu gości...

Rozmowa staje się ciekawsza, kiedy przechodzi na temat zwyczajów związanych ze świętem Tet. Dowiadujemy się, że te eksplozje, które huca naokoło, mają przywołać duchy przodków, a odstraszyć duchy złe, błędzące. Dowiadujemy się, że są tu kwiaty — właśnie stoją przy wejściu — wielkie, białe, żółte i czerwone — które zakwitają akurat na ten pierwszy dzień wiosny, gdyż on właśnie przynosi koniec im do tego ilość ciepła i wilgoci. Ludzie tak do tego przyzwikli, że kiedy chłód lub zbitnie ciepło rokuje inny dzień kwitnienia — nauczyli się sztucznie przyspieszać lub powstrzymać rozwój kwiatów. Przeglądam się tym kwiatom wychodząc: przecież to dalej, takie jak u nas dalej.

Wracamy późnym wieczorem. Ustal zupełnie wszelki ruch, na dekorowanych bramach i wokół chat kłębią się różnobarwne, o najróżniejszych kształtach bibułkowe lampy. Otwarte zawsze drzwi chat ukazują teraz zgromadzone przy stołach rodziny. Nad drzwiami unoszą się niebieskawe obłoczki dymu z tlących się lasceczek kadzidła...

Mijały dni i coraz bliżej zapoznawaliśmy się z życiem miejscowej ludności. Świętą po temu okazje dawały szczególnie kontrole dżipami. Na północy witały nas przyjazne okrzyki, klaskania w ręce. Na południu — pokorne, niskie ukłony i trudno było przeniknąć, co się za nimi kryje. Pamiętam starą parę Wietnamszyków z południa, którzy usunęli się na kraj drogi przed nadjeżdżającymi samochodami. Kobieta zagapiła się, mężczyzna zauważył to i mocno uderzył ją łokciem w bok. Zgięła się aż z bólu, ale błyskawicznie zsunęła z głowy swój stożkowy, wielki, słomiany kapelusz.

Nie dziwiło mnie to już. Wiedziałem, że kobieta tutaj to od wieków głównie siła robocza. I nie dziwiło mnie widok mężczyzny, idącego swobodnie z papierosem w ustach, a pół kroku za nim kobiety obarczonej tobołem, dwoma zwisającymi z ramion na bambusowym pręcie koszami i dzieckiem uczepionym okrakiem na biodrze. Wiedziałem, iż nie nie poradzę na to, że młody szofer naszego dżipa bije codziennie swoją osiemnastoletnią żonę — znalazł sobie drugą dziewczynę w pobliskim Hue. Zgodnie z nowym prawem małżeńskim, obowiązującym wtedy zaledwie od kilku tygodni, wolno tu mieć teraz tylko jedną żonę, chyba, że ona zgodzi się na piśmie, aby mąż wziął jeszcze jedną. Wcześniej szofer bit swą żonę, aby podpisał takie pozwolenie...

Poznałem też dzieci z wioski. Zaczęło się od papierosów. Najpierw „spotkanie na drodze”, prosiły o papierosa — podobnie zresztą jak dorosli — mężczyźni i kobiety. Ale dzieci, nawet zupełnie małe, 5-6-letnie, zaczęły wkrótce przychodzić pod nasz barak wołając: „cigarette”, lub po prostu wkładając palec w usta zrozumiwałym gestem. Nie widziałem, żeby się kiedykolwiek bawily: pasły leniwe, błotne bawoły lub nianczyły na biodrach malutkie rodzeństwo.

Tymczasem w grupie pracą biegła normalnym trybem: kontrole, czasem przekazywanie właścicielom-łodzi rybackich, które prąd rzeki zniósł na drugi brzeg, lub bawołów, które przeszły wbród rzekę.

Przez pewien czas grupę zajmowała sprawa szosy, którą zaczęto budować o kilometr od naszej siedziby. Chociaż w strefie działania grupy — wietnamski oficer łącznikowy systematycznie odmawiał zgody na jej kontrolę. Było to zagadką, którą nie spodziewanie wyjaśnił dziennik saigonski „The Times of Viet-Nam” obwieszczając, że jest to droga strategiczna, którą „mijający pokój Wietnam Południowy” będzie w razie potrzeby dostarczał posiłków wojskowych Laosowi.

Mijały dni, zaczynał się marzec i trzeba było opuścić Gio-Linh. Skończyła się dla mnie pierwsza lekcja Wietnamu. Potem przyszedł pobyt w Saigonie, stolicy Południowego Wietnamu, w Haiphongu — drugim pod względem wielkości i znaczenia mieście na północy i porcie, do którego zawiąza wiele polskich statków, w Nha-Trangu — najpiękniejszej chyba miejscowości Indochin z tysiącletnimi zabytkami Czamów, nad spokojnym, błękitnym morzem pełnym wielobarwnych, koronkowych raf koralowych.

Ale najsilniej zapisało w pamięci pozostały właśnie te pierwsze wietnamskie tygodni spędzone w Gio-Linh.

Równie silne wspomnienia zostały mi chyba tylko po powrocie w Muong-Khen, małej wiosce, ukrytej wśród porośniętych dzunglą gór nad granicą laotańska i ze słynnego zniszczonego miasta Ang-Khor w Kambodży...

Nie tam, gdzie on je, ale tam, gdzie jego jedzą, w tym miejscu przekład Paszkowskiego jest identyczny z przekładem Brandstaettera, nie tam, gdzie on je, mówi Michał Pawlicki, niestety, poza tym posługujący się prawie bez przerwy tekstem Paszkowskiego.

Angielski, powiada znany poeta, to trzaskanie ognia, francuski, to falowanie morza. Szekspir, to trzaskanie ognia. Szekspir w przekładzie Paszkowskiego to, niestety, stojąca woda. Każda epoka ma swoją wizję Szekspira, każda epoka ma swój przekład Szekspira. My mamy przekład Brandstaettera, jest to, nie ulega wątpliwości, najlżejszy z przekładów istniejących, nie kongenialny, oczywiście, ale trudno o to mieć pretensje do tłumacza. Janusz Warmiński wybrał jednak tłumaczenie Paszkowskiego.

kochałem dawniej waćpanne, mówi Hamlet do Ofelii, idź waćpanna do klasztoru. Brandstaetter jest prostszy, **kochałem się ongi, idź do klasztoru.** Nie namawiam zresztą do rezygnowania z niewątpliwych piękności przekładu Paszkowskiego, jest ich niemało, choćby ta strofa **niech ryczy z bólu ranny łos, trudno ją zastąpić brandstaetterowskim niech ranny daniel z bólu lka.** Woryginalnie wygląda to i tak inaczej, oryginał nie docięgniemy, Paszkowski kończy to są zwyczajne dzieci, Brandstaetter bo taki sens istnienia, u Szekspira jest **thus runs the world away,** świat toczy się, ale nie dalej, tylko gdzieś, a gdzie, nie wiadomo. Mimo wszystkiej piękności Paszkowskiego, które, rzecz jasna, można z łatwością ocenić, nie zachęcałbym nikogo do odkurzenia całego przekładu, cokolwiek by się nie robiło, zawsze pozostanie jakieś waćpanno, **idź do klasztoru, jakieś dziękuję, czy jakieś promienie bóstwa, które caują ścierwo, co jest już zwyczajną pomyłką tłumacza.** Niestety, — Szekspir pisał po angielsku, jesteśmy skazani na przekłady, dopóki więc nie otrzymamy przekładu kongenialnego — a nie otrzymamy nigdy, proszę mi wierzyć, nigdy, — musimy posługiwać się przekładem możliwie najwierniejszym, tu pytanie, najwierniejszym czemu? Intencjom reżysera? Szekspira? Czy naszej epoki? Sprawa jest, jak widać, dyskusyjna, przychyliłbym się do zdania tych, którzy twierdzą, że Szekspir powinien — bo może — brzmieć zgodnie z epoką, w której jest właśnie grany. O ile, rzecz jasna, reżyser nie miał wręcz przeciwnych intencji, reżyserowi może przede wszystkim zależeć na tym, by Szekspir nie brzmiał zgodnie z epoką, a intencje reżysera są rzeczą w teatrze najważniejszą.

Kwestia przekładu, choć nie pierwsza, jest więc, jak widzimy, dość ważna, jeśli gra się „Hamleta”, to gra się go po coś, musi być w tym jakiś cel, reżyser ma nam coś do powiedzenia, aktor ma nam coś do powiedzenia, wybierają przekład, który najlepiej przekaże ich myśl, ich koncepcje, powtarzam, wybierają. Wybrali Paszkowskiego, intencje reżysera są rzeczą najważniejszą, proszę o chwilę cierpliwości, zaraz będzie mowa o intencjach, na razie powiedzmy jeszcze, że tłumaczenie Brandstaettera proponuje Hamleta dojrzałego, Hamleta — mężczyznę. Może się zresztą mylę, może nie jest to propozycja tłumacza, a propozycja epoki? My zobaczyliśmy Hamleta nieletniego, oto on, mówi, **nie tam gdzie on je, ale tam, gdzie jego jedzą,** przed chwilą zabił Poloniusza, mimo to nie stracił ochoty do żartów, ma lat siedemnaście albo dwadzieścia jeden albo dwadzieścia cztery, na pewno nie ma lat trzydziestu, mówi, **łusty król i chudy**

pacholek sa to tylko różne potrawy, dwa dania na jeden stół, kpl, ironizuje, powiem więcej, choć słowo nie jest może zbyt stosowne, wygłupia się, robi miny. A przy tym jest smutny, przeraźliwie smutny, chodzi po scenie i czyta książkę, smutny chłopiec z książką, powiedzmy raczej, dziecko z książką, właśnie dziecko. Dziecko jest smutne, nie w tym dziwnego, zamknęło je w murach Elsynoru, a w Elsynorze straszy. Dziecko jest smutne, wie przecież że Dania jest więzieniem.

Józef Rachwański i Iwona Zaborowska ustawiły na scenie pięknie zaprojektowany fragment elsynorskich murów, murów wilgotnych i nieublaganych, wrażenie jest ogromne, nie oczekiwałbym jednak braw przy podniesieniu się kurtyny, wrażenie jest także niezbyt miłe, więc tak wygląda Elsynor naszych czasów? Przeróżający jest ten Elsynor, przerażające są te widma ludzi, którzy zgnili za życia, kim, jak nie widmem jest Klaudiusz, kim — Gertruda? Hamlet — Pawlicki broni się przed widmami, kpl, ironizuje — a zarazem traktuje świat widm serio, przeraźliwie se-



Barbara Horawianka (Ofelia)



Michał Pawlicki (Hamlet)

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

MICHAŁ PAWLICKI

w roli HAMLETA

Felieton z okazji wystawienia „Hamleta” w Teatrze Nowym

rio. Nie w tym dziwnego, sprzeczność w postawie jest pozorna, Warmiński pozwolił Hamletowi kpić i żartować, ale tylko z pozycji dziecka, i Hamlet kpił ze starszych, kpl, bo znajduje w tym uciechę, bo bawi go głupota Poloniusza i strach króla, kpl, ponieważ nienawidził dorosłych, ponieważ boi się dorosłych. Reżyser starannie oczyścił tekst ze scen, które mogłyby wskazywać na dojrzałość Hamleta, oto, powtarzam smutne dziecko, dziecko nie stać na cynizm, dziecko boi się duchów, **dziwy — wola Pawlicki na widok ducha króla-ojca wierzymy mu, jest naprawdę przestraszony i szczerze zdziwiony. Pojawienie się ducha napawa go lekkiem i czcią dla sił tajemnych, nie powie słyszycie tego kłapa tam w piwnicy, nie śmie powiedzieć ha, krecie, tak przedko umiesz szwować pod ziemią, nie powie żadnej z tych kwestii, ponieważ zostały one skreślone, i słusznie, reżyser ma prawo do skreśleń, jeśli Hamlet ma być dzieckiem, to niech będzie dzieckiem aż do końca, dzieci, jak wiemy, nie szyczą z duchów, szczególnie, jeśli są to duchy ojców. Taki jest Hamlet Pawlickiego, duch ojca nie ukaże mu się powtórnie, i ta scena została skreślona, dziecku nie potrzeba powtarzać dwa razy, żeby bało się duchów. Czy taki jest Hamlet? Nie wiem, Być może, Pawlicki ma rację, inną rację miał Hanuszkiewicz, którego mogliśmy oglądać niedawno, jeszcze inną będzie miał z pewnością Gustaw Holoubek, którego, jak słyszę, oglądać będziemy mogli niedługo. Nie znamy intencji Szekspira, mówi Roman Brandstaetter,*) znamy jego utwór, i dodaje, może na przestrzeni wieków punkt ciężkości utworu uległ przesunięciu, i jeszcze „Hamlet”, z biegiem czasu, z tragedii zemsty przeobraził się w tragedię człowieka zagubionego w epoce, dodajmy, oto propozycja epoki, ściślej, naszej epoki. Pawlicki ma jednak rację, ma swoją rację, nie gra człowieka zagubionego w czasie, gra dziecko, zagubione w okrutnym świecie dorosłych, rozgrywa tragedię zemsty, nie zna wahań, nie trapi go wątpliwość filozoficzna, mówi słowa, słowa, słowa, i wie, że ma dość słów, że chce zamordować, ale to już, więc dlaczego zastanawia**

się tak długo, pytamy, Pawlicki nie usprawiedliwia słabości Hamleta, powiedzmy więcej, ta słabość jest mu nie na rękę, jest silny, i okrutny, nie jest to siła świadoma siebie, nie jest to okrucieństwo szydery, jest tak okrutny, jak okrutne potrafią być dzieci, którym odebrano ukochaną zabawkę albo ojca albo miłość matki. Mówi, **golebie serce mam w piersiach** i trudno nam w to uwierzyć, mówi, **być albo nie być, ale przecież widzimy, że chce być i to być jak najpełniej, mówi, nie tam gdzie on je, ale tam, gdzie jego jedzą, i widzimy, że udał mu się znakomity żart, zabił Poloniusza i schował ciało, wyplatał figla dorosłym, rozwścieczone dziecko w okrutnym świecie. Nie interesuje się fenomenem śmierci, jest na to zbyt młody, więc już nawet nie siedemnaście lat mu dajemy, może rok mniej, niech będzie szesnastoletni, Czy szesnastoletni chłopiec zastana-**



wia się nad sprawami życia i śmierci, nie wiem, Pawlickiego interesują sprawy życia, przede wszystkim życia, nie czuje się w nim lęku przed owym obcym nam krajem, skąd nikt nie wraca, Yorick jest dla niego wspomnieniem dzieciństwa, nieczym więcej, jest gotów dać się pogrzebać żywcem razem z Ofelią, proponuje to Laertesowi bardzo serio, nie przeraża go fakt, że mógłby być jeszcze jednym daniem dla robaków. Wyznawca śmierci, ale nie jest nią zafascynowany, mówi, **słonec głodzi robaki w zdechłym psie, i nie wierzymy mu, mówi, powietrze, ten wspa-**

niały baldachim(...) nie wydaje mi się zaprawdę niczym innym jak tylko zbiórówiskiem zgnilych i zaraźliwych wyziewów, również mu nie wierzymy, mówi **niech ryczy z bólu ranny łos, nagle dojrzały, nagle pełnoletni, trudno mu nie uwierzyć, kwestia powiedziana jest wyjątkowo pięknie, potem jeszcze ten szepcący krzyk Horacy, to również bardzo piękne, ale oto już wiemy, z kim mamy do czynienia, podejrzewaliśmy to nieco wcześniej, bebechy, jak powiedziałby Witkacy, bebechy mają u nas tradycję bardzo określoną, z bebechami grywa się u nas Konrada i Kordana, Dziedów część III to bebechy, wielkie tragedie Słowackiego, to także bebechy, Niech ryczy z bólu ranny łos, teraz nie ma bebechów, ale teraz wiemy na pewno, Pawlicki gra jednego z bohaterów romantycznej literatury romantycznej, jest romantyczny, romantyczne — bo z romantyzmu polskiego — sa bebechy, romantyczny jest patos, Patos godny jest najwyższego podziwu, bebechy — przynajmniej dla mnie — są nie do zniesienia, Szekspir, powtarzam, to trzaskanie ognia. Reszta jest milczeniem, sposób, w jaki Pawlicki mówi to zdanie, dałby się usprawiedliwić chyba tylko piorunującym działaniem trucizny, niestety, trudno znaleźć usprawiedliwienie artystyczne dla minutowych pauz między słowami. Wiersza nie należy co prawda wyrzucać z siebie z szybkością, warto jednak pamiętać o tempie, nie celebrować, to nie Czechow, to także nie Eliot, tempo wiersza wzrasta u Szekspira wraz z temperaturą wiersza, im szybszy i gwałtowniejszy przepływ skojarzeń, tym szybszy tok wiersza, to zobowiązuje, pamiętajmy więc o tempie, jeśli nie chcemy, by dały się nam we znaki nupie. Autorem skrótu jest Artur Miedrzycki, nupie to nic innego jak nudy piekielne, reszta jest milczeniem, reżyser nie zadał sobie zapewne trudu sprawdzenia z zegarkiem w rękę, ile czasu zabiera Michałowi Pawlic-**

kiemu wypowiedzenie tych trzech słów, a szkoda.

Reszta jest milczeniem, tak kończy się „Hamlet”, nie oczekujemy na Fortynbrasa, reżyser skreślił również i scenę ostatnią, Fortynbrasa miał grać Mieczysław Voit, szkoda, że nie gra, nie wyobrażam sobie Voita jako Fortynbrasa. Trudno także wyobrazić sobie „Hamleta” bez ostatniej sceny, kilkadziesiąt lat temu można było zapewne tłumaczyć podobne skreślenie zbyt późną godziną zakończenia spektaklu, dziś, oczywiście, podobne tłumaczenie jest także dopuszczalne, bramy zamyka się o 11.00, ostatnie tramwaje zjeżdżają do remizy o tej a o tej, nie wiem jednak, czy zostanie przyjęte, „Hamlet”, tragedia duńskiego królewicza, jest także tragedią ludu Dani, pamiętamy, Dania jest więzieniem, w Danii, która jest krajem łajdaków i szaleńców, rządzi Klaudiusz i jego lotrzy, i oto przybywa Fortynbrasa, Fortynbrasa, który pobit Polaków, Fortynbrasa, siła militarna i zdrowie psychiczne, Fortynbrasa, ta kukła, ten menekin, o którym się mówi, a który ukazuje się tyłko po to, by oznajmić, że ma do tego kraju z dawien dawna prawa i zaraz każe dać ognia z dział, jest wielką niewiadomą „Hamleta” Co przynosi? Terror czy nadzieję dla uwieczonych w Elsynorze? Z czym idzie? Z bronią czy z rozważką? Co reprezentuje? Trzeźwość czy tę potę? Nie można grać „Hamleta” bez Fortynbrasa.

Państwowy Teatr Nowy, William Szekspir „Hamlet”, Przekład: J. Paszkowski, Inscenizacja i reżyseria: Janusz Warmiński, Scenografia: Józef Rachwański i Iwona Zaborowska, Klaudiusz — S. Butrym, Hamlet — M. Pawlicki, Poloniusz — M. Nowicki, Horacy — W. Piłarski, Laertes — E. Kamiński, Woltemand — A. Daniewicz, Korneliusz — B. Polkowski, Rosenkrancz — J. Kubicki, Gildenstern — L. Wojciechowski, Ozyrik — D. Mater, Dworzani — Z. Płoszaj, Książ — S. Skoźmiowski, Marcellus — J. Antczak, Bernar — Z. Malawski, Stary aktor — J. Piłarski, Król-aktor — Z. Malawski, Królowa-aktor — B. Baer, Lucjan — G. Lutkiewicz, Aktor — B. Mikuc, Grabarz — J. Klośński, Ogrodnik — E. Wiehura, Marynarz — B. Mikuc, Gertruda — H. Bedyńska, Ofelia — B. Horawianka, Duch ojca Hamleta — L. Benoit.

*) co nie znaczy, bym sądził, że Szekspira należy uwspółcześniać, czyli upolityczniać.

**) R. Brandstaetter „O Hamlecie i Fortynbrasie”, Dialog nr 8, 1956 r.

Zdjęcia:
GERARD
PUCIATO

odgłosy str. 7

DOM NA KRAŃCU MIASTA



W każdym mieście jest taki DOM, czasem nawet kilka. Ukrywa się je na peryferiach, albo na wsi, w otulonych parkami poziemiaszkich domach.

Ale tych domów ukryć się nie da! Przy siatkach parkanów zawsze gromadzą się ciekawie. Podglądają tragiczny „cyrk” ludzki, towią dobiegające przez mur zieleni, nieartykułowane dźwięki dzieci, trącają się „w bok”, na widok co ciekawszych „pokrak”.

— Niektórzy gapiowie przychodzą codziennie, nie można ich odgonić od parkanu — skarży się personel jednego z takich łódzkich DOMÓW.

Przychodzą co dzień? — Czego tu szukają? —

Dzieci za parkanem są nie normalne. Obok wszystko jest normalne: drzewa, piaski, wyrzewający się na słońcu kundel, uganiające się wychowawczynie w białych fartuchach, motyle — cały migotający barwami świat.

Dom na krańcu miasta jest przepelniony. Gdyby otworzył w pobliżu drugi — zapelnilby się przez 24 godziny. Na miejsce dla dziecka czekają ludzie latami, a czasem daremnie. Pierwszeństwo mają najgłębiej upośledzone, niebezpieczne dla otoczenia.

Ten z daleka przyjemnie wyglądający pałacyk powinien obejrzeć z bliska wszyscy dorośli. Tu bowiem nie tylko zebrała plon Heine-Medina, zapalenie mózgu, ale i wiele innych ciężkich chorób, mogących zahamować rozwój umysłowy.

Wielu pensjonariuszy DOMU to smutny „owoc” nalożonych, lekkomyślności lub Avręcz — głupoty swoich rodziców. Wszystkie dzieci są tu bardzo nieszczęśliwe, choć nikt nie czyni im żadnej krzywdy.

ON „GLASZCZE SIĘ” U MNIE...

— Już u furtki parku, czeka mnie niespodzianka. Podbiega może 5-letni malec i tuli główkę do mego piersza. Chcę pogłaskać białe włoski, ale pod wpływem dotyku chłonce stawia oczka „w słup”, zaczyna coś krzyżać tupać nóżkami, po czym przerażony ucieka.

— Dziwne prawda? mówię obserwując tę scenę lekarz psychiatra a jednak zrozumiałe. Te dzieci „rozumują” — jeśli tak można nazwać tylko niektórymi od ruchami i tylko te odruchy pamiętają. Chłopiec poznał

obcą rękę — on „glaszcze się u mnie”.

O właśnie jest i Wojtuś. Lekarz nie mówi nic (to bez sensowne) uśmiecha się tylko. Chłopiec podchodzi ostrożnie i czegoś wypatruje.

— Mamy i takie dzieci co w ogóle milczą; jedzą i śpią — zupełnie jak rośliny... Lekarz podniósł szybko dłoń, kilkunastoletni chłopiec, stojący opodal ani drgnął, zareagował natomiast na widok z daleka ukazanego talerza.

Wojtuś już ośmielił się, podchodzi do pana doktora i jak psiek podstawił główkę. Lekarz glaszcze go szczo drze.

Cóż więcej mogę dla niego uczynić? Trafili do nas bardzo późno. Rodzice najpierw zwlekali a potem machnęli ręką — kogo Pan Bóg kocha temu cierpienie zsyła.

Wojtuś nie wie czy go Pan Bóg kocha, chwytając się nieświadomie ostatniej nadziei — fartucha doktora...

Dokola nas zbiera się gromadka dzieci. Niektóre coś mówią inne poruszają tylko wargami, jak rybki w ustawnionym wysoko akwarium, i jak one nie przerywają milczenia. Ich twarzyczki napierają na nas niby żywa galeria najpotworniejszych typów ludzkich. Przeważają wielkie lub małe lenie głowy i tepe nieruchome oczka.

— Na tego oto malca trzeba uważać bez przerwy, usiłuje zjadać kał — informuje pielęgniarka.

— Ten zaś — wskazuje innego — jest najtrudniejszy z naszych sadystów. Kilka razy usiłował dusić inne dzieci. Zanim przybył do Zakładu udusił brata... Ośmioletni dusiciel ma złożone jak do modlitwy ręczki.

— A oto ten mały szkrab, jeszcze dobrze nie chodzi, a już usiłował odgryźć język takiemu samemu jak on chłopcu.

Relacji jest więcej wszystkie przerażają. Niektóre dotyczą dzieci niczym „na oko” nie różniących się od normalnych.

— Panie doktorze czy medycyna nie ma dla nich żadnego ratunku?

— Niestety, dla większości nie ma.

— Przecież psychiatria otrzymuje coraz nowsze i lepsze środki medyczne...

— Muszę wstępnie wyjaśnić istotne nieporozumienie. Te dzieci nie są chore umysłowo, one są ciężko upośledzone. To jest zupełnie coś innego niż choroba umysłowa, te rzeczywiście leczymy coraz lepiej...

Generalnie rzecz biorąc medycyna różniła 2 podstawowe stopnie niedorozwoju — ciężkie lekarz. Najlepiej jest debilizm, pośrednim — imbecylizm (tutaj właśnie mamy imbecylizm i najgłębszy idiotyzm. Lepiej żeby takich dzieci rodziło się jak najmniej...

— A czy można to przewidzieć?

— W wielu wypadkach tak, ale żelaznych reguł nie ma. Zresztą najlepiej pozwolą to zrozumieć kartoteki dzieci.

ZIELONE TECZKI NIE WRÓŻĄ NADZIEI...

Na „pierwszą ogień” ewidencja Wojtusia. Ma lat 13 (wygląda na 5) syn alkoholiaka. Jest trzecim dzieckiem swoich rodziców. Dwóch jego starszych braci także przebywa w Zakładach. Oto fragment wywiadu, jaki przeprowadził z matką chłopca lekarz Wojewódzkiej Poradni Zdrowia Psychicznego w Łodzi:

— Najstarsze się „nie udało” więc myśleliśmy, że może drugie, ale też nie. A trzecie to jak pan doktor widzi, także Pan Bóg nie dał zdrowie...

Dcpisek lekarza: „bardzo niski poziom umysłowy matki graniczący z niedorozwojem”. Takich uwag jest w „historii choroby” więcej. Pomyślny: kobieta II-giej połowy XX wieku — urodziła troje upośledzonych dzieci i w międzyczasie ani razu „nie przyszło jej do głowy” pójść i poradzić się lekarza...

Dzieci alkoholików to najwięcej „pozycja” ilościowa DOMÓW. A oto co mówi na ten temat działacz Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa w Warszawie p. mgr Kutyna:

— Walczmy wszyscy o świadome planowanie rodziny a dzieci upośledzonych rodzić się będzie z pewnością mniej...

Pogląd doświadczonego łódzkiego lekarza:

— Picie stałe (nie mówiąc już o upijaniu się) powyżej 60 gramów wódki na 1 dobę — może już być niebezpieczne dla potomstwa...

— Chodzi Wam by alkoholicy nie mieli dzieci? Jakże ja mogę występować przeciwko nim, kiedy sam lubię się napić... Stefan K. — felietonista „Tygodnika Powszechnego”.

Dowcipne, wymowne i trochę niekatolickie.

A teraz inna tezka. — Ach to Bogdana — mówi opiekunka grupy.

— Jego matka ob. W. dość często przychodzi do nas (wielu rodziców w ogóle nie przychodzi) dba o malca, pieści go, przynosi różne laskocice. Raz nawet chciała mi dać 20 złotych — bym lepiej uważała na chłopca — uśmiecha się opiekunka

Ob. C. bardzo kocha dzieci, natomiast nie znoś ich ojców. Tak dalece ich nie znoś, że nawet nie pamięta, kto jest ojcem pierwszego dziecka, drugiego i trzeciego. Zresztą z tymi ojcami ma ciągle kłopot, trzeba ich szukać po całej Polsce, nie chcą płacić alimentów...

Takim to sposobem troskliwa mama, hoduje sobie na częściowy lub całkowity koszt państwa 2 debilów i jednego imbecyla — w dodatku znów chodzi w ciąży.

— Kobieta jest przybita swoim stanem. Namawialiśmy ją by usunęła ciążę, ale bo to na długo — pielęgniarki Domu uśmiechają się domyślnie.

— Czyż nie można jej sterylizować?

Doświadczony psychiatra Wojewódzkiej Poradni Zdrowia (któremu opowiadałem przypadek) pani dr M. ma na to gotową odpowiedź: — To nie jest takie proste, ktoś ma decydować, lekarz?

Byłoby to niejako naruszenie prawa jednostki do posiadania dziecka. Mogło by tracić rasistowskim praktykami. Przecież żaden lekarz nie może z absolutną pewnością zaręczyć, że czwarte dziecko ob. C. będzie także nie normalne. Natura to nie matematyka. Wprawdzie ob. C. urodziła troje upośledzonych dzieci, ja bym była zdania, że do trzech razy sztuka...

— A czy lekarz nie mógłby ją namówić do usunięcia ciąży?

Robimy to, dajemy wskazówki, ale łatwiej przekonać kobietę o normalnym poziomie umysłowym niż np. niedorozwiniętą. Mamy w poradni trudniejsze przypadki. Choćby ostatni: — w jednym z naszych zakładów przebywa imbecylka, której już dwukrotnie przerywaliśmy ciążę (uciekała z zakładu). Mimo to nie udało nam przeprowadzić zabieg sterylizacji, choć byłoby to bardzo wskazane. Potrzebne jest pewne uproszczenie przepisów prawa.

— Czy w praktyce lekarza nigdy nie udało się pani doktor doprowadzić do takiego zabiegu?



Z daleka wszystko jest zwykłe: park, dzieci, zmierzająca na schody wychowawczynie. Jednak gdy podejść bliżej odchodzi ochota patrzeć — chce się stąd uciekać jak najdalej.

Ten DOM powinien zobaczyć każdy dorosły.

— Owszem udało mi się raz — w czasie okupacji. Czasem spotykam pacjentkę, jest mi bardzo wdzięczna...

Problem zmniejszenia ilości rodzących się upośledzonych dzieci — kańczy pani dr M. — to nie tylko zadanie medycyny lecz całego społeczeństwa. To przecież w poważnej mierze zależy od kultury życia. My tu niestety w Poradni mamy przypadki o całej „lata świetlnej” dalekie od ideału...

W GABINECIE LEKARZA

— Na co dziecko chorowało?

— Koklusz, odra, żółty dek — wymienia matka, ale wnet dodaje: ona od samego początku — „widziało się” — była już taka niemrawa.

Lekarz bada dziecko. — „widziało się” i przez 4 lata nie była pani z córką w Ośrodku Zdrowia?

— Daleko mieszkam, aż za Nowym Miastem, matka mówiła że wyrosła z tego”. U nas w domu też jedna siostra taka była i wyrosła.

— Czy w czasie ciąży przechodziła pani jakieś urazy psychiczne, fizyczne?

Kobieta milczy, lekarz pyta zrozumialej: — Może w czasie ciąży kopnął panią mąż?

— Może i kopnął w czasie ciąży — zgadza się.

— A nie pamięta, pani na pewno?

— Kto by tam pani doktor takie rzeczy pamiętał. Jak się chłop upije to wiadomo... Mój jeszcze nie taki zły...

Scena druga: W gabinecie rodzice (oboje rzadkość) on inżynier, ona nauczycielka. Dziecko ciężko upośledzone.

— Gdybyśmy wiedzieli (mówi ona) to nigdy nie pragnęlibyśmy dziecka...

— Oeh, dlaczego — mówi lekarz — przesyłały pani specjalną kurację. Podejrzewamy tylko jeden konflikt krwi między państwem...

— Skądżeśmy mogli to wiedzieć?

Prawda. Gdyby przy zawieraniu małżeństwa były wymagane jakieś świadectwa zdrowia prawdopodobnie lekarz psycholog ostrzegłby na czas o niebezpieczeństwie.

Scena trzecia: Rodzice Andrzeja K. są zdziwieni: — Nikt w rodzinie nie był przecież upośledzony umysłowo? Ojciec przeżył Monte Casino, Oflag — jest doskonałego zdrowia, matka także.

— To niczego nie dowodzi — tłumaczy lekarz, ale prowadzi dalej wywiad z rodzicami. W trakcie rozmowy wychodzi na jaw, że oj-

ciec w młodych latach „miał ciężką” wymowę, uczył się źle, dopiero w wojsku — „się wyrobił”. Dziadek zaś umarł na jakąś wstydliwą chorobę, którą przywoził z I wojny światowej...

Znów problem Poradni przedślubnej. Ale gdzie są u nas takie Poradnie? Są nato miast zagorzali przeciwnicy przymusowych badań przedślubnych (dobrowolnie też nie zostały zorganizowane). Skutek prosty: nikomu nie przychodzi do głowy iść poradzić się lekarza zanim zdecyduje się na dziecko.

— Po co? — Pytają niektórzy. „Do tego” niepotrzebny jest lekarz, każdy potrafi...

Ba, ale czy zawsze potrafi?

MEDYCINA NASZA WLECZE SIĘ W TYŁE

Niech pan zwróci się do jakiegoś profesora psychiatrii dziecięcej — odrzekł mi jeden z łódzkich lekarzy, którego dręczyłem żądaniem, by medycyna śmieję precyzowała przeciwskazania i kierunki walki z niedorozwojem umysłowym dzieci. — Nie stawiając przecię kropek nad „i”, skąd możecie żądać by ludzie mieli do was pełne zaufanie?

Długi czas szukałem profesora takiej specjalności. Niestety, w kilku podstawowych ośrodkach medycznych kraju (Warszawa, Kraków, Łódź, Poznań) nie znalazłem takiego profesora, ba nawet niższych stopniem pracowników nauki, nie mówiąc już o katedrze.

— To jest nie takie proste — wyjaśniono mi w Krakowie. W przodującej medycynie Francji jest tylko jedna katedra psychiatrii dziecięcej. W Polsce pewne prace podjęły Wojewódzkie Poradnie. Najsilniejszy jest Ośrodek Warszawski.

Kierownik Woj. Poradni w Warszawie na Chelmskiej p. dr Zofia Szymańska przyjął mnie trochę nieufnie (Ach ci dziennikarze mogą znówu coś pokręcić!)

— Katedra? — wdycha pani doktor — My nie mamy nawet Centralnego Instytutu Badań. Nasi lekarze zdobywają specjalizację (często tylko praktycznie) w szpitalach. Tamteż prowadzimy niektóre prace. Oczywiście są one z konieczności dość ograniczone — dał lekie od aktualnych potrzeb.

— A ile dzieci psychicznie upośledzonych rodzi się rocznie w Polsce?

— Niestety, sądzę, że na to pytanie nikt panu nie

Dzieci — rośliny nie proszą się na świat

odpowie. Te liczby potrzebne są także nam do pracy naukowej.

— Jak to? Rejestrujemy przecież wie'e chorób m. in. gruźlicę, Heine-Medina, choroby weneryczne...

— Niestety te dane trudniej jest uchwycić ponieważ przez Poradnie przechodzi bardzo mały procent dzieci (głównie przypadki najcięższe). Mnóstwo dzieci przebywa w szkołach specjalnych Ministerstwa Oświaty, jeszcze więcej chodzi do szkół normalnych. Skala nie dorozwoju jest bardzo szeroka — zaczyna się od przypadków lekkich, niedostrzegalnych — gdzie wystarczy okresowa opieka lekarza psychiatry, pomoc w wyborze zawodu — do krańcowych, jakie widział pan w Zakładach.

Mogę jednak panu powiedzieć, że jest ciekawa praca naukowa na ten temat, Czechosłowacka. W kraju tym przeprowadzono badania kontryjne w szkołach i okazało się że ok. 10 proc. dzieci potrzebuje opieki psychiatry...

A oto głos pedagoga — dyrektora jednej ze szkół łódzkich w dzielnicy Włódek:

— Sądzę (a opieram się na wieloletnim doświadczeniu) że w mojej szkole poważny odsetek dzieci potrzebuje opieki psychiatry. Zachowanie się około 1/5 dzieci budzi obawy. Obserwuję zjawiska niedorozwoju a obok nich także różne go rodzaju psychozy, z którymi my pedagogowie nie zawsze umiemy sobie właściwie radzić.

(Rad i wskazówek lekarza odnośnie konkretnych dzieci potrzebujemy także i my nauczyciele!)

Wiem, że nie wyczerpałem tematu. Ale czyż ten temat można wyczerpać? Rok 1960 jest Międzynarodowym Rokiem Zdrowia Psychicznego. Być może, że po raz tam któryś sprawy nieszczęśliwych dzieci staną się znów przedmiotem dyskusji w komisjach sejmowych, ale nie to zamierzam osiągnąć swoim reportażem, chodzi o czyni bo tylko one się liczą. Domy na krańcach miast są wypelnione po brzegi. Dzieci — rośliny żyją wśród nas, męczą się a przecież wiele z nich mogłoby się nigdy nie urodzić. Ich rodzice i tak ich nie posiadają...





WIESŁAW JAŹDZYŃSKI OKOLICA starszego KOLEGI

Po drugiej stronie wzgórza
dynek Liceum im. St. Zeromskiego, wystawiony w pierw-
szej połowie XVIII wieku. W ścianie zewnętrznej znaj-
duje się tablica z portretami i imionami dawnych uczniów

Junacy z cenzusem

Jest rok 1938. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczało wiele znakomitości, m. in. Stefan Zeromski i ówczesny premier Sławoj Składkowski. Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum podzielili się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców. Arystokrata i demokraci walczyli przy pomocy krzyku („bić chamów!”, „bić szlachtę!”) na intelekt (dowodzenie naukowe, z którego wynikało, że albo jedni, albo drudzy stanowią zakale ojczyzny i powinni zniknąć) walczyli wreszcie przy użyciu broni ciężkiej (krzesła, kosze na śmieci, kreda i inne sprzęty szkolnego użytku, jak kalamarz, pomoc naukowe itp.). Dwóch wybitnych arystokratów — Kajaż i Buczacki odchyło krwawy pojedynk na szable o kobiecie, w wyniku którego Buczacki został publicznie ośmieszony. Za namową Buczackiego plutonowy Kwiatek, który również pała nienawiścią do młodzieży, aresztuje głównych bohaterów groteskowego otwarcia... szaleństwa. Tak efektownej akcji nie notowały od lat kroniki policyjne... Jednakże plany Buczackiego spaliły na panewce, ponieważ z opresji wyratował wszystkich Lutowiecki, syn wicewojewody. Obecnie szkoła w niesłychanym napięciu przygotowuje się do zawodów narciarskich.

— Tak jest, panie poruczniku, tego się nie da zapomnieć!
— Dobrze. Niech mi junak bez cenzusu powie, jaką rolę gra u dowódcy drużyny psychologia?
— Dużą rolę gra, panie poruczniku.
— Dobrze niech mi junak bez cenzusu poda odpowiedni przykład.
— Na przykład, panie poruczniku, nie prowadzi się drużyny do natarcia przez cmentarz, bo taki widok załamuje moralnie żołnierza. I przeciwnie, panie poruczniku, cmentarz jest dobrym miejscem na zasadzkę, gdyż nieprzyjacieli bity na cmentarzu łatwiej ulega panice i szybciej umiera.
— Dobrze. Niech mi junak bez cenzusu powie, czy w warunkach górskich okopujemy się na grzbiecie, czy w dolinie?

na używanie rąk celem o-
budzenia! Odepnij się, po-
wiadam, bo wojsko to nie
salon, chłopcy. A on kręcił
dalej, ma się rozumieć. Od-
nieprzysięż się czy nie, powia-
dam, się otwieram oczy, bo
w wojsku nigdy nie wiadomo
kto, kopie, ma się rozumieć.
Patrzę, a tu mnie kopie
generał Rygły Smic i
powiada: to ty jesteś ten
dzielny wojak Pytko? Wsta-
ję, zajmuję postawę zasadni-
czą, wszystko jest w porządku
pozapinane. Tak jest, panie
generale, ja jestem ma
się rozumieć! No to masz
order, powiada, za manewr
szczęsnego półszwadronu
kawalerii pod Działną, jdzie-
my do Działna onie zwy-
cięstwo. I poszliśmy. Od
tego roślem, chłopcy!
Wzdłuż szeregów przele-
ciał okrzyk uznania.
Wano jej chętnie pracowni-

— Na grzbiecie panie poruczniku, gdyż wycofywanie się pod górę grozi załamaniem moralnie żołnierza, natomiast zniknięcie za grzbieciem nie nastęca poważniejszych trudności.
— Dobrze. Niech mi junak bez cenzusu powie...
Skomplikowany i trudny egzamin teoretyczny nie mógł rzecz prosta, zadecydować jeszcze o zwycięstwie którejś z drużyn. Zarzysowała się jednak wyraźna przewaga drużyny liceum humanistycznego, głównie dzięki Justynowi, który bez specjalnego trudu potrafił wygrzebać w pamięci na poczekaniu ponad dwadzieścia miejsc „upamiętnionych bojami żołnierzy Wielkiego Marszałka”.

Po egzaminie wygłosili panowie dowódcy regulaminowe pogadanki, specjalnie opracowane dla junaków bez cenzusu. Szczególną rolę wycelowaną w tych pogadankach pełnił osobisty przykład. — Wojsko to dowódca jednostki, wartość żołnierza składa się z zalet dowodzącego, reszta nielotna.

— Wiecie chłopcy, dlaczego jestem taki duży? — Tym interesującym pytaniem rozpoczął swoją gawędę porucznik Pytko — żołnierz Marszałka, oficer, dowódca i nauczyciel przedmiotu niezwykle ważnego, nazwanego oficjalnie Przystosowaniem Wojskowym. Nieznajomość metalowych, co tam zresztą metalowych, nawet drewnianych części karabinu mogła przesądzić ujemnie los maturzystów.

— Nie wiemy, panie poruczniku, to bardzo ciekawe — odezwał się zgodny chór w odpowiedzi, chociaż wszyscy znali na pamięć bohater-
skie czyny profesora Pytki z gimnazjum matematycznego. Prawda jednak była — porucznik wyrósł ponad wszelką miarę. Szabla, którą nosił u boku, regulaminowych przecięć rozmiarów, wyglądała jak dziecinna zabawka.

— No to wam powiem. Roślem w ogniu, chłopcy, ma się rozumieć! I ten właśnie moment unieśli dostrzec moi dowódcy, tak jak ja dostrzegam nieomylnie wasze zalety i wady. Wspomnę tu przed wami takie wydarzenie z frontu litewsko-białoruskiego. Spieć sobie spokojnie po zwycięskiej bitwie, nad Dźwiną, w trawce, ma się rozumieć, a tu mnie ktoś kopie. W warunkach bojowych nie zawsze jest czas

kom rozmaitych urzędów za długoletnią służbę. Państwo, jak mówili wtajemniczeni, posiadało nieograniczone zapasy tych medali, po trzy na obywatela, wliczając już w to młodzież w wieku szkolnym.

— Od tego tak urosłem, chłopcy, czego i wam życzę, ma się rozumieć, skończym.

Posypały się hałaśliwe brawa, poparte gromkimi okrzykami. Kto wie? Taki entuzjazm mógł być punktowany, jako przejaw wysokiego moralnie. Przed szeregiem pojawił się z kolei pan porucznik Swistak, profesor gimnastyki i przysposobienia wojskowego w liceum humanistycznym.

— Chcecie, junacy, wiedzieć, dlaczego jestem taki męły? — Swistak uśmiechnął się ironicznie w stronę porucznika Pytki.

— Tak jest, panie poruczniku — zahaczał w odpowiedzi — to ogromnie ciekawe!

Zawzięły spór obu poruczników rezerwy o wojenną sławę, znany od szeregu już lat, miał w gruncie rzeczy za każdym razem ten sam przebieg, ale zawsze pasjonował młodzież. Obaj wybitni dowódcy nie mogli co prawda nazbyt wiele powiedzieć nowego o swoim bohaterstwie, mogli jednak, zależnie od chwilowych dyspozycji lepiej lub gorzej to bohaterstwo przedstawić.

— Pamiętam — profesor Swistak zamyślił się głęboko — szliśmy wtedy z Kijowa do Trembowli, pieszko,

wództwo wiedziało, gdzie jest wojsko. Za ten zwykły czyn za wykonanie rozkazu, dostałem ten oto order i inne — rozpiął piaszcz.

Na piersi zabłysły te same dwa medale. Swistak zasalutował uprzejmie, żegnany okrzykami i brawami. Kiedy maszerował szabla uderzała o ziemię. Mimo regulaminowych rozmiarów przypominała słynny „Scyzoryk”. Tak bardzo zmniejszyli kowale porucznika Swistaka.

Trzecią drużyną dowodził zawodowy podoficer, groźny sierżant Flak. Był to człowiek na wskroś wojskowy. Ograniczył więc swoją wypowiedź do niezbędnych wskazówek, bez których żołnierz obejść się nie może.

— Dupcie w troki, laleczki! Rączki chodzą do pasa, raz, dwa! Raz dwa! Rączka na wysokość bączka, bączek na wysokość kołnierza — to jest postawa żołnierza! Nóżki lekko zgięte mniej odczuwają zmęczenie w marszu. Bańdzoszki wpiąć, piersiatka wypiąć, laleczki! Dziękuję skończyłem! — odmaszerował, demonstrując krok defiladowy, pożegnany huraganem braw i okrzyków.

Spozą białego, gestego pyłu, wyrzwał świat odmlodzony. Nad Biesakiem zaświeciło słońce, ziemia zabłysła, jakby w odpowiedzi, miliardami lilowych i srebrnych szkiełek. Strzeliste wieże dawnego pałacu biskupów wierzły teraz czyste, błękitne niebo.

Trzy walczące oddziały,

szedł zagrać — swojej drużynie!

Takie i jeszcze mniej przyjemne epitety padały pod adresem naukowca. Tymczasem gitara okazała się doskonałym instrumentem w walce o zwycięstwo. Drużyna ruszyła sprawnie w takt melodii, szybciej niż pozostałe uporządkowała marsz. Trzej dowódcy, niezbyt sprawiedliwi w odmierzeniu cudzych zasług, odnotowali w tym wypadku zgodnie: „Za własny sprzęt muzyczny, który odegrał marsza generalistycznego, oddziałując pozytywnie na morale zyskuje liceum humanistyczne 5, słownie: pięć punktów.

Szopen wykazał także zdumiewający zmysł polityczny. Strzelec żaden, narciarz — lepiej nie mówić, a jednak zyskał nowe punkty. Nim po zostało drużyny zdążyły o czymś podobnym pomyśleć, już dźwięki gitary zapowiedziały „Pierwszą Brygadę”. Trzej dowódcy sięgnęli znowu po służbowe notesy. „Pierwsza Brygada”, zgodnie z regulaminem przyniosła aż dziesięć punktów — „za podchwycenie ideologii Marszałka w pieśni żołnierskiej, która najbardziej podnosi morale”.

Po półgodzinnym marszu zatrzymały się drużyny przy strzelnicy, aby wypoocząć. Wo koło ciągnął się młody zagajnik, obsypany gęsto śniegiem. Padła komenda „spocznij” i „rrrozejść się”. Licealiści łączyli się w luźne grupki, analizowali uważnie śnieg, dobierali odpowiednie smary i palili papierosy. Trzej dowódcy, zazwyczaj nieprzejednani służbiści i strażnicy wszelkich przeprosów, patrzyli przez palce na to oczywiste łamanie regulaminów, więcej, pozwalali się łaskawie częstować, rozumiejąc aż nadto dobrze zdenerwowanie junaków bez cenzusu.

Główną konkurencją zawodów — bieg narciarski, połączone ze strzelaniem do tarczy wygrywały rokrocznie licealiści z gimnazjum matematycznego, przegrywali natomiast z kretesem humaniści. I tym razem, mimo wyraźnej przewagi punktowej humaniści byli w zasadzie bez najmniejszych szans. Jeżeli w strzelaniu do tarczy mogli liczyć na pewne sukcesy, to już sam bieg przez kresła wszelkie nadzieje. Poeci, prozaicy, myśliciele, politycy, to — jak poucza historia — kiepscy narciarze.

Bieg był trudny. Narciarze, uzbrojeni w karabiny, obciążeni trzema cegłami w plecaku, wyjeżdżali co dwie minuty wąską, krętą przełęczą na szeroki i mało używany dukt prawy, pieli się mozolnie na szczyt pasma wzgórz, pędzili szczytem jakis czas i spadali w dół duktem lewym, śliskim, wyjeżdżonym przez setki entuzjastów białego szaleństwa. W wysięgu decydowały szybkość, sprawność fizyczna i umiejętność jazdy na nartach.

Nie mówiąc już o matematykach, nawet „biskupiacy” przewyższali humanistów. „Biskupiacy”, uczniowie trzeciego z kolei gimnazjum, pupile jego eminenencji księdza biskupa, to były chłopcy rosłe, „zamożne z domu”, wysportowane.

— Jasny gwint! — martał się Florek — mieć tyle punktów przewagi i przetrwać cały gips!

— Gdyby nie te nasze kmiotki! — Racibor poprawiał wiązanie u nart — można by było jeszcze mówić, gówno takiemu nie zegarek, bo go grabiami kręci, a coż dopiero narty!

Jeżeli nie brać stosunku demokratów do zegarków, Racibor miał jednak dużo racji. Dzik, Malinka, a nawet i Tracz nie mieli nawet zielonego pojęcia o jeździe na nartach.

— Wygraj tu z takimi bieg — westchnął ciężko Książę, zapalając papierosa.

D.c.n.



— Aaaaa!

— Albo weźmy inny przykład, chłopcy. Zima na wschodzie, śnieg pada jak dziś, człowiekowi brzuch do kczyza z głodu przyrasta, bo w warunkach bojowych nie zawsze zdąży się za kuchnią a nasz spieszony półszwadron kawalerii maszeruje przez gołe pole bez broni maszynowej, a tu z boku sota nia kozacka, ma się rozumieć. A my — buch w życie, orientacja w terenie to podstawa każdego rozwiązania taktycznego w boju. I nie zauważyli nas. Jak się o tym wódz naczelny dowiedział, przysłał mi przez oficera ordynansowego order, bańkę spirytusu na dziesięć litrów i list osobisty dla dzielnego wojaka Pytki ze spieszonego półszwadronu, ma się rozumieć, za ocalenie żołnierza polskiego. To są te moje ordery — porucznik Pytko otworzył teatralnym gestem wojskowy piaszcz, na piersi błyszczały starannie wyczyszczone „Sidolem” dwa okrągłe medale, Nada-

szybko, jak to przy chwilowym odroście. Szużyłem w piechocie królowej broni, a nie w kawalerii bez koni, jak to się zdarzało innym. Podczas drogi, to trzeba pamiętać, porobiły mi się odciski wielkości kartofli. Przystawało się więc u kowali, żeby mi meselkiem te odciski poobcinał. Kowale obcinał, odcisków przybywało, bo marsz trwał, to trzeba pamiętać więc kowale znowu meselkiem, meselkiem, jednego za drugim. I człowiek mała, za odczynę mała, to trzeba pamiętać, stawał się mniej widoczny w terenie, co jest zaleta żołnierza, zwłaszcza w odwrocie, ale duch rósł. Kapusta wybujała to pusta — uśmiechnął się złośliwie pod adresem profesora Pytki — Lokietek był małego wzrostu, a został królem. To trzeba pamiętać. Przystępem do Trembowli pierwszy i zameldowałem się. Nie lekceważyłem tego momentu, junacy, żołnierz musi się zawsze meldować, żeby do-

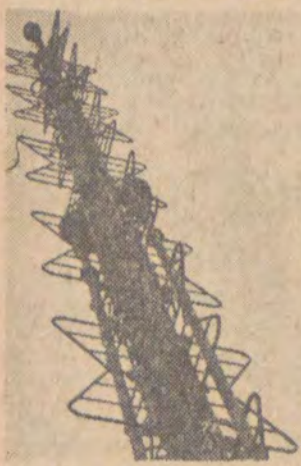
objuczone plecakami, nartami i karabinami wyruszyły na stadion. Droga była dosyć daleka. Na trzykilometrowej trasie, oddzielającej miasto od stadionu, można było zyskać nowe punkty za udany śpiew, żołnierską postawę, za sprawny marsz zgodny z regulaminem.

Ileż niespodzianek niesie życie! Wszyscy od dawna wiedzieli, że taki na przykład Szopen, intelektualista, czyli człowiek nie do życia, zupełnie nie liczył się w sprawach wojskowych. Okrągłe zero, nie odróżniał muszki od szczyrbinki przy karabinie piechoty bocznego zapłonu, typ Mauser, wyrób krajowy, z reguły nie trafiał nawet w tarczę. Lajza nie żołnierz! A jednak nie kto inny, lecz właśnie lekceważony Szopen zdobył dla swojej drużyny równe piętnaście punktów. Szopen przyniósł na egzamin teoretyczny gitarę, co spowodowało ogromną weselotę.

— Na gitarze chcesz zwycięstwo wygrać?
— Marsza żalobnego przy-

W stronę telewizji

ZMARTWIENIA I OGÓRKI



Postanowiliśmy odwiedzić Łódzki Ośrodek Telewizyjny do oświetlenia rozmawiać się, co w trawie piszczy oraz — po drugie — zdobyć materiał potrzebny do oświetlenia rozmaitych problemów nie tylko z tej, ale również z tamtej strony.

Przedstawiciel Redakcji Estradowej — może nie najwazniejszej, ale bądź co bądź najbardziej interesującej czytelnika — p. Janusz Rzeszewski, powiedział nam co następuje:

— Wchodzimy w sezon ogórkowy. Jeszcze w czerwcu nadamy widowisko taneczno-muzyczne pt. „Barwy życia” w opracowaniu Stefana Dowgrda, potem odbędzie się premiera teatryku „Akuku” pod redakcją Poli Wert (na pierwszą audycję złożą się teksty Stefani Grodzkiej) i właściwie w III kwartale nie należy się już spodziewać niczego specjalnego.

Nowy sezon zaczniemy w październiku. W tej chwili Warszawa zagwarantowała nam dwie dwudziestominutowe audycje typu estradowego w miesiącu i jedną du-

żną audycję raz w kwartał. Kontynuowalibyśmy tedy nasz teatryk „Akuku” (kolej na audycja zostanie oparta na tekstach Leszka Skrzydły i zostanie zrealizowana już w lipcu) dla którego zagwarantowaliśmy współpracę autorów „szalkowych” (a dlaczego nie łódzkich?? — przyp. nasz), robilibyśmy audycje rozrywkowo-muzyczne itp.

Oczywiście narzucone nam przez Warszawę rami są o wiele za ciasne — chcemy robić stały magazyn rozrywkowy (roboczy tytuł „Zza kulisy”) noj jeszcze parę rzeczy.

Główna trudność to — oczywiście brak pieniędzy. Sytuacja wygląda tak, że redakcje warszawskie są traktowane jako redakcje ogólnopolskie i fundusze płyną niejako ich kanałem. Powiedzmy że na cztery audycje rozrywkowe w miesiącu. Warszawa dostała 100 tys. zł. Trzy audycje ma przygotować Warszawa, a jedną Łódź. Ale, rzecz jasna, Warszawa woli lekko raczką wydać np. 90 tys., a nam zostawić 10 tys., niż wydać — powiedzmy — 75



tys., a zostawić uczciwa jedną czwartą „doli”, tzn. 25 tysięcy.

Sąmy, którymi operuje — kontynuował p. Rzeszewski — podał „na rybke”, ale rysując sytuację chyba wystarczająco ostro.

MY: Najzupełniej ostro! Ale czy pan sądzi, że jeżeli napadniemy na Warszawę, to coś pomoże?

RZESZEWSKI: Nie, nie sądzę...



W tym tygodniu radzimy obejrzeć

CZWARTEK 9. VI. Zaczynamy od programu dla dzieci o godz. 17, o 18.40 program publicystyczny z Łodzi, o 18.55 audycja „W 150 rocznicę urodzin Roberta Schumana”, Łódzka Kronika Filmowa, Polska Kronika Filmowa, Reportaż filmowy z Poznania (o 19.45), dziennik telewizyjny, reklama, reportaż z Instytutu Mechaniki Precyzyjnej (o 20.30) i wreszcie o godz. 21.05 — kolejna „Kobra”.

Tytuł — „Morderca przyjdzie za godzinę”. Realizacja — studio warszawskie.

Również w **PIĄTEK 10. VI.** zaczynamy programem dla dzieci o godz. 17.05.

O 18.10 program filmowy z Warszawy, następnie dziennik telewizyjny i pozycja ze wszech miar warta obejrzenia (a raczej przypomnienia, bo przecież widzieliśmy ją swego czasu w łódzkim Teatrze Nowym również z Andrzejem Szalawskim w roli strażnika Kokla) — „Henryk VI na łowach” Wojciecha Bogusławskiego, transmisja z Teatru Narodowego w Warszawie.

W **SOBOTE 11. VI.** już o godz. 15.40 Warszawa nada film fabularny dla dzieci o nieustalonym jeszcze tytule. (Radzimy sprawdzić w prasie codziennej).

O 17.10 magazyn — „Nie tylko dla pań”.

Następnie program tygodnia i już o godz. 17.55 rozpoczynamy transmisję z pierwszego dnia międzynarodowych zawodów lekkoatletycznych o Memorial Janusza Kusocińskiego. Transmisja potrwa do godz. 21.00, kiedy to zostanie nadany dziennik telewizyjny.

Po dzienniku film fabularny produkcji angielskiej „Spotkanie”, należący do cyklu filmów zakupionych przez telewizję, a więc czytany.

Na tym koniec. O koncercie rozrywkowym, czy czymś w tym guście, jakoś nie słychać — ano, nie dziwota, ogórki kwitną.

„Kobra”

Ma swój rozum ten morderca

Dalecy jesteśmy od złośliwej satysfakcji połączonej z pokrzykiwaniem: — A co? Nie mówiliśmy... — fakt jednak faktem, że kolejna „Kobra” zrealizowana w łódzkim studiu znowu nie należała do najświetniejszych.

Nie pomogło tele-kino, nie pomogła solidna drewniana budowla (jak „żywa”), która wzniesiono pracowicie w studiu, nie pomogła staranna obsada aktorska — po raz nie wiadomo już który okazało się, że bez dobrego scenariusza nie ma dobrego widowiska. Nie ma nawet i wtedy, gdy telewizja wykaże maksimum dobrej woli, uczyni wszystko dla możliwie dobrej realizacji. Nie można naszej łódzkiej telewizji odmówić rzetelnej pracy. A jednak...

Scenariusz „Morderstwa w Dolinie Wiatrów” obciążony zaś wszystkie „grzechy główne” dramaturgii z jednej, a pisarstwa kryminalnego z drugiej strony. Więcej niż wata ekspozycja, nieznośne gadulstwo (pierwsze dwadzieścia minut, w których nie się nie dzieje), niejasny tok rozmowy, rozwiązanie logiczne rzecz biorąc co najmniej wątpliwe, udokumentowane na zasadzie nagłego ośnienia detektywa. Chyba wystarczy, a żeby nie być gołosławnym, przeprowadźmy dowód prawdy przynajmniej na jedną kolekcję.

Zaczyna się rzecz od tego, że Leon Niemczyk (w widowisku — Robert Klemp) długo i nieznośnie gędzi, jak to on rozczyna się w „kryminałach”, ale — niestety, niestety — z chwilą odłożenia książki przestaje być detektywem. — Zdarzyło się wszela-



Krótką charakterystyka poniektórych aktorów telewizyjnych

Nazwisko: LUTKIEWICZ

Imię: GUSTAW

Przynależność teatralna: TEATR NOWY (jak dotąd)

Specjalność aktorska: WSZYŚTKO UMIE I SZEKSPIRA I KANKANA. „WILNIUK” — „zaciąga” niezrównanie. Stosunek do telewizji: NABOŻNY



Nazwisko: MAJDA

Imię: BOHDANA

Przynależność teatralna: TEATR NOWY

Specjalność aktorska: SPIEWY Z TANCAMI. O I DRAMAT.

Stosunek do telewizji: POGODNY



Uwaga, szmira

Ostatnio Łódź została wprost zarzucona uroczymi pocztówkami „Z powinszowaniem Imienin”. Owe przerażające przykłady złego smaku i tandetnego wykonania produkcji ponoc jakaś szczyńska firma fotograficzna.

Jesteśmy niezmiernie ciekawi, jaki to dowcipny urzędnik pozwolił na produkcję tych — przynajmniej przyzwoitych — kiczów.

Postanowiliśmy jedną z pocztówek reprodukować. Niech i nasi czytelnicy się pośmiają.



Łodzianie gdzie indziej

Chodzi oczywiście o publikację łódzkich autorów. Tak więc już następny (szósty) numer „Dialogu” przyniesie nową, bardzo ponoc interesującą sztukę Jarosława Mar'a Ryndkiewicza pt. „Król w szafie”.

W ostatnich numerach pism humorystycznych (warszawskie „Szpilki” i poznań-

ki „Kaktus”) znajdziemy kilka żartów rysunkowych młodego (bardzo) łódzkiego rysownika — Kazimierza Mozulowskiego.

Pozatem na łamach „Życia literackiego” wypowiada się od czasu do czasu na łódzkie tematy (ostatnio dość często) poeta Jerzy Waleń-

Kabarety, kabarety



Hasło „Kabaret w każdym domu”, rzucone kiedyś przez nas znalazło podatny grunt. Niedawno czytaliśmy w pewnym małym piśmie o otwarciu kabaretu w Łasku.

Obecnie jak się dowiadujemy i Pabianice otrzymały własny przybytek podkaszanej muzy, któremu patronuje miejscowy organ „Życie Pabianic”. Co ciekawsze tron kabaretu stanowią studenci a reżyserem jest absolwent Łódzkiej PWST. Zespół ma już w dorobku program pod szalenie oryginalnym tytułem „Przez różowe okulary” i odgrza się podobno, że przygotowuje następny.

Ciesz się nas to niepomiernie i z niecierpliwością czekamy na wiadomości o powstaniu kabaretów w Pawlówku, Galkówku i Pajęczynie.

„Kamyczek” na Bałutach

Bałucki Dom Kultury wpadł na nowy ciekawy pomysł, popularyzowania jak najszerzej zasad nowoczesnego savoir-vivru.

W realizacji pomysłu godny pochwały jest zwłaszcza fakt, że „kamyczkowe” spotkania z młodzieżą odbywać się będą nie w samym DK a właśnie w świetlicach periferyjnych (Helenówek, Mikolajew itp.).

Inicjatywa bałuckich działaczy kulturalnych bardzo się „Odgłosom” podoba.



Antykwariaty

Niewiele antykwariatów mamy w naszym mieście. Na Liczę się właściwie tylko trzy. „Słowo” na Parkowej, „Czytaj” na Nurutowicza i antykwariat Domu Książki przy ul. Piotrkowskiej 133.

Niewielu klientów mają antykwariaty. Czasem kupi ktoś stary „kryminał”, częściej pozbywa się tu niepotrzebnych książek.

A przeciw antykwariaty to kopalnia książek poszukiwanych. A zatem jeśli ktoś marzy o zdobyciu dawno wyczerpanych — „Zamku” Kafki czy „Pamiętni-

ka” Chłędowskiego — znajdzie je w „Słowie”. Na Piotrkowskiej 133 otrzyma poszukiwaną „Encyclopedię Ilustrowaną” Trzaski, Everla i Michalskiego czy arcyciekawą a zapomnianą studium „Literaci i grafomani”.

Przykłady można — w zależności od gustów i upodobań — mnożyć w nieskończoność. Dlatego „Odgłosy” postanowiły niebawem opublikować coś w rodzaju „antykwararskiego baedeker’a”, co miłośnicy książek na pewno przyjmą z zadowoleniem.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 84-73 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł kwartalnie 12,- zł * Redakcja nie zamawia rekopisów ale zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Z. 1760. VI 1960 r. R-5

Najostrzejsze ołówki świata

MARGE

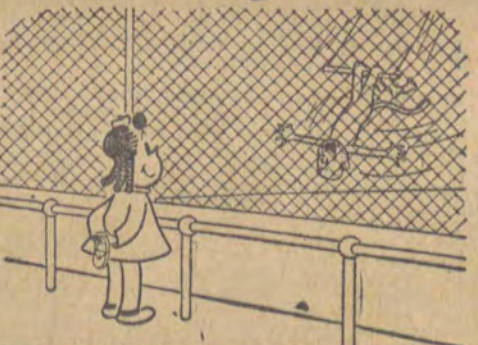
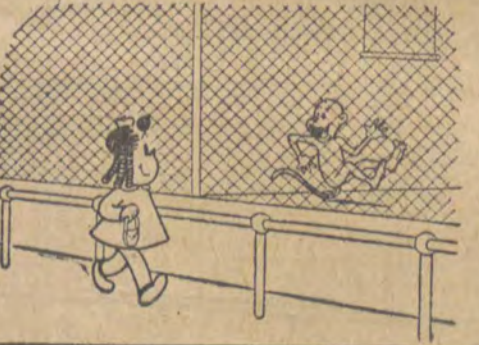
Prawie nikt nie słyszał w USA o Marjorie Henderson Buell, lecz jako Marge znana jest milion czytelników wielkiego tygodnika ilustrowanego „Saturday Evening Post”. Z góra 25 lat, bez przerwy — rysuje Marge dla tego magazynu przynajmniej jeden dowcip lub historyjkę obrazową o malej LULU. Przez ten czas jej 6-letnia bohaterka powiększyła grono najpopularniejszych postaci żartów cyklicznych.

W ciągu ówczesnego Lulu zupełnie się nie zestarzała — choć jej wygląd i zachowanie uległy pewnym zmianom. Wyładniała, zrobiła się znacznie grzeczniejsza, bardziej ukladna. Jej kolejne, cotygodniowe przygody, ukazywane początkowo w jednym rysunku — rozrosły

się później do historyjek o-brazkowych i nawet dłuższych komiksów. To zjawisko dość charakterystyczne wśród autorów żartów cyklicznych — kiedy ich bohater zdobył sobie uznanie maksymalnie roz-budowują swoje zwyciężone opowiadki, zbliżają je do typowo komiksowych form. A w związku z tym — o ile dawniejsza Lulu nie nie mó-wiła, to obecnie jej rysowa-ne dzieje uzupełniane są tek-stem, dialogiem.

Naszym zdaniem, — zmia-ny te nie wyszły na dobre. Rzecz gustu, oczywiście, bo zarówno wśród dorosłych, jak i młodych Amerykanów cykl o Lulu nie a nie nie stracił na popularności.

Drukowane obok żarty po-chodzą z wcześniejszego o-kresu przygód Lulu. (Jert).



HORACY SAFRIN

Przypowieść o skąpstwie

Ktokolwiek uważa pana Amadeusza Gałkę za zwy-czajnego skąpca, jest bez-wątpliwnie na jaskrawym tropie. Pan Amadeusz to op-tymista i matematyk z naj-prawdźwistego zdarzenia. Niejeden mózg elektronowy pozazdrościłby mu swobody, z jaką porusza się w mate-matykach cyfr.

Toteż bohater nasz mógłby z powodzeniem zostać sław-nym wynalazcą, lub co naj-mniej profesorem jakiejś wyższej uczelni. Aliści aspi-racje jego nie sięgają aż tak wysoko. Jak dotychczas, za-dawała się on skromnym mianem dostawcy galanterii dla handlu prywatnego — z siedzibą w kawiarni „Lod-zianka”, gdzie w ciągu oś-miu godzin urzędowania kon-sumuje butelkę wody sode-owej za 90 groszy. Natomiast w „przerwie obiadowej” kor-zysta z sześciogroszowej po-siłków najbliższej stołówki związkowej.

Po tym krótkim przed-si-wiu zapoznam Was z nastę-pującą historią:

Działo się to w niedzielę, kiedy — jak wiadomo — sa-motni ludzie stają się czę-stokroć ofiarą kulinarnych ciagotek. Uległ im również pan Gałka i spożył w samo-południe wędzonego śledzia. Nic dziwnego, że po upływie niecałych dwóch godzin po-czuł gwałtowne pragnienie.

Przypomniał sobie, że tego rodzaju stany leczy radykal-nie filiżanka czarnej, nie cu-krzonej kawy. Lecz cóż? Mała porcja tego aromatycz-nego napoju przekracza pra-wie czterokrotnie cenę bu-telki wody sodowej...

Gdy tak rozważał, prażąc się na lico słońcu, w pracującej na szybkich obro-tach głowie matematyka zro-dziła się genialna myśl: a może by odwiedzić swego stałego klienta, pana Wale-rego Motylka, właściciela sklepu mody męskiej „Elegant”?

Z rozkoszą przypomniał so-

bie ostatnią wizytę w tym znacym domostwie, gdzie właśnie w godzinach popo-ludniowych poczestowano go czarna kawa i świeżutkim paczkiem.

Klient jego mieszka wpra-wdzie dość daleko, ale prze-jazd tramwajem w obie stro-ny kosztuje zaledwie złoci-sza, a poczęstunek według cennika lokalu pierwszej kategorii „Lodzianka” wy-nosi dokładnie pięć złotych trzydzieści pięć groszy.

Siedząc w tramwaju pan Amadeusz jeszcze raz uzmy-słowił sobie szczegóły cieka-wości. Filiżanka mone-cnej, świeżo parzonej kawy ziarnistej i pulchny, rumia-ny, tłuszczeniem ociekający paczek... W ślad za wyobraź-nia jęły poruszać się szczelki i nasz pasażer ani się spo-strzegł, jak rozgrzwał i po-łknął bilet tramwajowy.

A że przypadek lubi pła-tać figle najczciodszyemu osobom, wwrósł przed nim za chwile kontroler — i pan Gałka musiał ze ściśniętym sercem i rumieńcem wstydu uiścić dziesięciokrotną należ-ność za przejazd.

Rychło jednak ochłonął i skalkulował: jeśli ziem u Motylków dwa paczki, to zawsze jeszcze wyjde na swój rachunek i zyskam na czysto złotego i czterdzieści groszy.

Ale nieszczęścia zazwyczaj chodzą w parze. Pan Gałka, z trudem wgramoliwszy się na trzecie piętro, nie zastał pana Motylka; drzwi otwo-rzyła mu uroczą pani Doro-ta. Była w słomkowym ka-peluszu o szerokim rondzie, a w lewej ręce ścisłała białą torebkę.

— Ach, pan Amadeusz! Jak to pięknie z pańskiej strony, że zjawia się pan w sama porę. Udać się z wi-zyta do pani Madzi — wie pan, mała sklep na Głównej i Pietrowa wille... Czy nie zechciałby mi pan towarzy-szyć?

Pan Gałka czynił rozpa-czliwe wysiłki, by zdobyć się na udrzejmy uśmiešek. Zdawał sobie sprawę, że stoi przed nim małżonka-solid-nego klienta.

Gdy znaleźli się na ulicy, pani Motylkowa zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Po sześciu minutach byli już na miejscu.

Nasz niedoszły konsument czarnej kawy, musnąwszy wargami malutką raczkę pa-ni Doroty, sięgnął po raz trzeci do portmonetki i za-płacił szoferowi osiem zło-tych pięćdziesiąt groszy...

Nieutulony w żalu spoj-rzał przed siebie — i do-strzegł na podwórku posesji graniczącej z willą staro-świecka studnie. Przypom-niał sobie dreczące go od kil-ku godzin pragnienie i chci-wie przypadł wargami do zimnego żelastwa...

Pan Amadeusz choruje już drugi dzień. Angina. Termo-metr wskazuje trzydzieści osiem z kreskami. Widocznie zaszklona mu lodowata, studzienna woda.

Nasz bohater żuje suchar, uśmiecha się i rozmyśla:

— Jeśli gorączka potrwa do jutra, to zaoszczędzę na samych obiadach w stołów-ce osiemnaście złotych. I po-wetuje cała niedzielna stra-te — jeszcze z dawką...



TADEUSZ PAPIER

WIECIEŻ CO WIĘCEJ?



ale przecież jest to grunt tak niepewny, tak najeżony wątpliwościami, pytaniami, na które nie ma jeszcze od-powiedzi, że trudno jest się odważyć na autorytatywny sąd. I autor powstrzymuje się od tego sądu, ale pod-chodzi do tego zagadnienia w sposób słuszny, nie szo-winistyczny, opierając się na najnowszych badaniach. „Uczciwość naukowa — pi-sze — każe więc badać, szperać, szukać pośród za-wyłych tropów. Każe także uwzględnić głosy różnych stron i wysłuchać sprzecz-nych poglądów...” Mimo to pytanie końcowe „Wiecież co więcej?” nie zamyka po-wieści, nie może jej zamy-kać.

Nie chodzi chyba autorowi o wykrycie ostatecznej prawdy, o rozstrzygnięcie od-wiecznego sporu, mimo że książka daje sugestijną wi-zję przeszłości, wskrzesza życie zmarłych grobów, od-zwierciedla świat, którego już nie ma, odtwarza histo-rię ludzi, o których sasił wspominać; mimo że domi-nującym elementem poszu-kiwań jest prawda, ukryta w skarbie Atanaryka, w naczyniach, w starzych grobach, to przecież oprócz skarbu historycznego jest jeszcze drugi skarb dru-ga prawda, jakaś wiara mo-cna w człowieka, której tu-

taj można się doszukać. Nie-gdzie indziej, a nad jeziorem Długim, gdzie rozłożył obo-zowisko archeolodzy, nad starymi rozkopanymi groba-mi, można zacytować wiersz Wergilego „Fugit irrepara-bile tempus”, o ucieczce cza-su niepowrotnego. Mimo wszystko kryje się w tym lapidarnym pytaniu „Wie-cież co więcej?” drugi sens książki, drugie odkrycie, nie mniej ważne od pierwszego, a może ważniejsze.

Wytoczyłem na pierwszy plan sprawy „ideologiczne” gdyż one ciąży nad książką w sposób zasadniczy, decy-dują o kształcie powieści. Ale powstaje pytanie czy skarb Atanaryka? można nazwać powieścią? Czy nie słuszniej określić książkę jako reportaż. Są w niej przecież całe stronicz wy-kładowi i sprawozdań nauko-wych, być może nawet nu-żących dla mniej ciepłowo-go czytelnika. „Ale moim zdaniem, jest w tej uwadze pozorna racja, nie nazwał-bym książki Nienackiego reportażem. To co decyduje o jej literackości jest fikcja, rzeczywistością fikcyjną, w której mocno osadzone są wykłady i „wtajemniczenia”. Czytelnik bez znużenia śle-dzi akcje, ubarwioną pery-petiami osobistymi i zawo-dowymi bohaterów, która tylko pozornie toczy się dwutorowo: wędrującie i w przeszłości. Wykłady his-

toryczne nie są suche i ab-strakcyjne, są świeże i ak-tualne, wzbogacają postacie bohaterów o nowe przeżycia. Ten prastary świat widzi-my najwyraźniej, niemal bierzemy w nim udział. I rzeczywiście bierzemy, odko-pując groby. Ożyły postacie Gotów, ci powstałi ze szkie-letów ludzie dynamizują ak-cję. „Ludzi sprzed dwóch tysięcy lat wyobrażamy so-bie najczęściej jako twar-dych, okrutnych, bezwzględ-nych. A ileż delikatnych i wzniosłych uczuć ludzkich kryje ta wspólna mogiła...” „A przecież tutaj miłość po-szła aż za grób, na wieki...” (str. 61). Ta umiejętność wią-zania dokumentu z fabułą uderza w książce. Autor często sięga po reminiscen-cje historyczne, jego boha-terowie są bowiem bardzo obeznani w tej dziedzinie. Akcja toczy się w szczupłym gronie archeologów — ale-tylko pozornie. Historia moc-no wiąże się w powieść z problematyką dnia dzisiej-szego, autor osiąga ten efekt że grono bohaterów powie-ksza się o czytelników Książki.

Wbrew dotychczasowej re-lacji, która sugerowałaby powagę, książka pisana jest lekko. Nienacki pisze języ-kiem „prostym”, dla niego, kiedy deszcz pada to napi-sze, że deszcz pada, kiedy jest zimno, to napisze, że jest zimno. Ta giewyszuka-

ność stylu prowadzi autora z jednej strony do niezłych efektów. Autor umie stwo-rzyć odpowiedni nastrój, ładnie wychodzą mu opisy przyrody, uda mu się kilka-ma kreskami naszkicować bohatera (czasami w tej charakterystyce przypomina Makuszyńskiego: „Wspania-le! Cudownie! Ukradnemy im motocykle — zgodził się Ström. Był to bowiem bar-dzo sympatyczny archeolog”, Str. 144). Jednakże — mimo, że bohaterzy książki są zin-dywalizowani, ich język nie jest zróżnicowany, naj-cieściej mówią językiem narratora, autora (nie biorę pod uwagę „gwały” młodzie-zowej, którą autor chętnie wykorzystuje) i chociaż w tej powieści nie są to spra-wy najważniejsze, to jednak dają się odczuć. Nie stroni autor od satyrycznego spoj-rzenia na bohaterów (postać Pawła, obraz kawiarni, w której dziewczęta mają twa-rze aniołów, a h-lasują jak przekupki). Książka cieka-wo ilustrowana przez Ro-mualda Klaybora, godna po-lecenia, szczególnie dla mło-dzieży, która lubi się pasjo-nować „wielką przygodą”.

★
Zbigniew Nienacki. Skarb Atanaryka. Nasza Księgar-nia 160. Nakład 10.000 + 233 egz. Ark. druk. 14,5. Cena zł 15.

To jest powieść, do któ-rej można dodać wiele epi-tetów. Jest przede wszyst-kim książką polemiczną. Au-tor zbudował ją na zasa-dzie „kryminału” naukowe-go. „Kryminał” w sensie najbardziej odbiegającym od potocznego rozumienia, tego terminu. Detektywi — ar-cheolodzy odtwarzają po-łne gocką na Pomorzu. Po-szukują „skarbu Atanaryka” rozkopując stare groby, wskrzeszają przeszłość, przy-wołują do życia świat za-marły. Był! Goci na naszym Pomorzu czy nie, jeśli byli to kiedy i w jakim charak-terze kogo tu spotkali, czy natknęli się na plemiona ger-mańskie, jak twierdzą nie-kilku niemieccy naukowcy, kto ma większe prawo mo-

ralne do tych ziem, Niemcy czy Polacy? Grupa archeolo-gów, której towarzyszy dziennikarz Tomasz, ma od-powiedzieć na te pytania, wyjaśnić zagadkę „złotego jeziora”.

Moim zdaniem, powieść nie zamyka się pytaniem: „Wiecież co więcej? I co?”. Autor ustrzegł się od fałszy-wej straconości, która gro-ziła na każdym kroku, zdumiewa jego erudy — w tym zakresie, wiemy skąd inąd, że brał udział w podobnej wyprawie (drukował w swo-im czasie w „Odgłosach” re-portaże z tej wyprawy). więc książka oparta jest na rzetelnej dokumentacji —



FRANCOISE
SAINT - LAURENT
MISS FRANCUSKIEGO
TYGODNIKA
"CINEMONDE"



„Młodzi małżonkowie“

Reżyser Maurizio Bolognini dość zrećnie wymieszał odrobine realizmu włoskiej prowincji, podpatrzonego bardzo powierchnie z „Wałkoni“ Felliniego, z takim sentymentalizmem, którym ocieka cały film.

A więc w ładnym, włoskim miasteczku mieszka pięć bieknych dziewcząt i tylu ładnych chłopaków. Wszyscy są sztywno ubrani, mają skuterki, a jedna z bieknych Włoszek nawet samochód. Młodzieńcy zabawiają się tak mogą: wrzeszcza nocami, bicia i bawia się w miłość, wymieniając partnerki. Powie ktoś, że reżyser ukazał dzisiejszą młodzież, jej

— jak to określają starsi — zdemoralizowanie. Nic bardziej fałszywego: Bolognini owych „bohaterów“ nie potępia, wprost przeciwnie, stara się zrobić reklamę dla stylu życia ukazanych wałkonów.

Co prawda, tu i ówdzie film zawiera dość dobry materiał obserwacyjny i podrażnia wyreżerowane sceny, niestety, „Młodzi małżonkowie“ oprócz wielkiego ładunku sentymentalizmu nie są, jak niektórzy to określają — filmem realistycznym, a raczej bardzo kiepska, która tam wodą po neorealizmie.

Wielu widzów będzie tego filmu bronilo: czyż nie przy-

jemnie popatrzeć na ładne aktorki (Antonella Luadi, Sylvia Koscina), lub na przystojnych chłopaków (Franco Interlenghi, Gerard Blaine)? Na pewno przyjemnie, ale czy tylko ładne buzie panienek mają być jedynym kryterium, dla którego film, zupełnie niepotrzebny i nieprawdziwy — filmowa Rada Repertuarowa każe CWF-owi kupować? Czy wreszcie dla takiego filmu potrzeba robić kosztowny dubbing (np. bardzo dobrze zrealizowany)? Wydaje się nam, że ostatnio nasza Rada Repertuarowa za dużo takich gaff popełnia.

A. NIESMIAŁEK

POWRÓT ROSSELINIEGO

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI pisze do nas z Paryża

Przypadek sprządził, że w ciągu tygodnia możemy zobaczyć trzy filmy Rosseliniego. „Jedenastka kwiatków św. Franciszka z Asyżu“, „Podróż do Włoch“, oraz „General della Rovere“. Twórca „Paisy“ młodził dość długo. Od pewnego czasu nie tworzył dzieł na miarę swoich wyższych artystycznych. Ostatni z wymienionych filmów jest triumfem całkowitym. „General della Rovere“ zdobył „Złotego Lwa“ w Wenecji, w 1959 r.

„JEDENASTKA KWIATKÓW ŚWIĘTEGO FRANCISZKA“ to film, który zasługuje w pewnym sensie na miano eksperymentu. Jedenastka epizodów z dobroczynnej działalności św. Franciszka inspirowało Rosseliniego do bardzo oszczędnej opowieści, która trudno może zmierzyć normalnymi kryteriami i raczej choćby na niezwykłość tematu.

Św. Franciszek z Asyżu uczy pokory i altruizmu. Dość trudno jest odpowiedzieć na pytanie czy Rosselinemu chodziło o ilustrację fragmentów życia św. Franciszka czy także o swoistą tę działalność interpretację? Zapewne i o jedno i o drugie. Sam już wybór epizodów mógłby o tym świadczyć. Od czasu do czasu u Rosseliniego ślizga się gdzieś po wierzchu tej światobliwej fabuły jakieś ironiczne spojrzenie. Kilka epizodów poświęca Rosselini jednemu ze specjalnie gorliwych uczniów św. Franciszka — Ginebro. Ojciec Ginebro idąc za wskazaniem mistrza powraca raz do siedziby bra-

ciszków w ostatniej już części garderoby — zwanej popularnie kałesonami. Pozostałych części pozbył się uprzednio rozdając je bliźnim. Obraz powracającego Ginebro jest specjalnie eksponowany przez reżysera. Tenże sam Ginebro z nadmiarem miłości bliźniego uciaga swini jedną z kończyn. Rozgniewany właściciel zwierzęcia łoi go za to kijem po głowie.

I tak dalej i tak dalej. Sądze, iż w „Jedenastku kwiatkach“ zarówno zwolennicy św. Franciszka jak i ci, którzy na sprawy świętości patrzeć mogą bardziej sceptycznie, znajdą należną im część.

„PODRÓŻ DO WŁOCH“ porusza problem kryzysu małżeństwa, problem pary idealnej rozwiązany dość kompromisowo przez reżysera.

Oto małżeństwo, zapewne nie najszczerzejsze, które doznało rozpadu. Żona — kobieta cierpliwa, kulturalna, dobra. Mąż — towarzysko ogładzony i bogaty. Próbuje odnaleźć wspólne szczęście. Niestety, mąż nie rezygnuje z łatwych przygód i spotkań, podczas gdy żona nie tyle z zainteresowania, co z nudy ogląda dzieła sztuki włoskiej. Wszystko prowadzi w prostej konsekwencji do rozvodu czy separacji. Tak wskazywałaby logika akcji. W filmie dzieje się inaczej. Ostatnia sekwencja, świetnie zrealizowana przez Rosseliniego, pokazuje ową parę jadącą autem



Vittorio de Sica w filmie Rosseliniego GENERAL DELLA ROVERE

przez zatłoczone ulice miasta. Właśnie przechodził tedy procesja. Mężczyzna zmuszony jest zairzymać samochód. Gdy wyszli już z auta i przyglądają się zafanatykowanemu tłumowi, ludzie rzucają się ku światłemu obrazowi i okrzykiem cud! cud! Kobieta popchnięta falą ludzką ginie w tłumie. Mężczyzna biegnie za nią. Szukają się wśród okrzyków biegnących ludzi. Gdy wreszcie już się odnaleźli, całują się długo, bardzo długo, tam wśród procesji i wyznają sobie miłość. To optymistyczne zakończenie jest jakiegoś fałszywego, rozładującego sztucznie, przeciw logice faktów cała tę historię. Może jednak film Rosseliniego spełnia całkiem określoną rolę we Włoszech, gdzie — jak wiadomo — rozwódki nie istnieją. Rola kobieca powierzył Rosselini swojej ówczesnej żonie — Ingrid Bergman.

„GENERAL DELLA ROVERE“ podobnie jak „Rzym, miasto otwarte“ podejmuje problematykę okupacyjną. Vittorio de Sica, znany na ogół jako aktor komedyny i reżyser, stworzył w tym filmie bardzo ciekawą postać sympatycznego dochształpera, zerującego na ludzkim nieszczęściu, który na skutek przypadku przeistacza się w prawdziwego bohatera. Scenariusz filmu stawia przed aktorem trudne zadanie rozbudowania ewolucji wewnętrznej postaci od sytuacji prawie zrośniętej ku przejmującym scenom oczekiwania na egzekucję. Problem „General della Rovere“ nie jest problemem wyboru mechanicznego. To wybór wynikający z przekonania o słuszności postawy, to także swego rodzaju tragiczna pokuta za kompromitująca przeszłość, tragiczna, bo zakończona śmiercią.

Szczególnie wspaniale odtworzył de Sica końcowe partie filmu. Scena nabożeństwa, kiedy wybiega na korytarz więzienia i przejmując pełną odpowiedzialność za losy współtowarzyszy woła: „mówi do was general della Rovere!“. Ta scena, będąca może punktem zwrotnym w jego ewolucji, patetyczna i tragiczna — niezwykle mocna w efektach wizualnych i dźwiękowych, jest przejmującym, dowodem wielkiego humanizmu filmu Rosseliniego.

Oto zapewne jeden z najciekawszych filmów ubiegłego roku.

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

OD REDAKCJI: O ostatnim filmie Rosseliniego „Noc nad Rzymem“, oraz o jego planach — napiszemy w jednym z najbliższych numerów „Mieszanki“.

EKRANIK

NA BEZRYBIU polskiej komedii (od początku bieżącego roku — zaledwie jedna premiera) — z dużym zainteresowaniem oczekiwany jest film reżyserii Andrzeja Czekalskiego „Ostrożnie Yeti“. Akcja filmu toczy się wokół poszukiwania w Warszawie zaginionej przesyłki z jednym egzemplarzem żywego Yeti. W głównych rolach występują znani aktorzy komedii — Jeremiasz Stepiński i Stefan Bartk, a obok nich Stanisław Miński, Czesław Roszkowski, Wiesław Golas i Bogusz Bilewski. Realizacja filmu została w zasadzie ukończona i należy oczekiwać, że w najbliższych tygodniach dołączymy się do premier. Oczywiście — o ile CWF nie zacznie filmu „wędzić“ w swoich magazynach.

POPULARNY AMANT włoski, Raf Vallone — pra-

gnie spróbować sił w zawodzie reżysera filmowego. Jako debiut wybrał opowiadanie niedawno zmarłego świętego pisarza i dziennikarza — Curzio Malaparte: „To wargysz podróży“. Film ma zostać sfinansowany przez jednego producenta Dino de Laurentis.

ZNANY REŻYSER DOKUMENTARZYSTA — Jan Omnicki, zrealizował interesujący film średniometrażowy o życiu żołnierzy WOP. PO UKOŃCZENIU „Szaryna z 7 klasy“ — reż. Maria Kaniewska ma zamiar realizować film o życiu polskich aktorów na przełomie 19 i 20 wieku.

FILMÓW TABULI — NY-H zamierza wypuścić na ekrany w roku bieżącym wirtuozja filmowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej — DFFA. Kilka filmów realizuje DEFA w kooperacji ze Związkiem Radzieckim i „Ancla“. W tym roku także „Abiec ma — użycie końca — ca nad kr — ny, już od paru lat filmem „Matka Courage i jej dzieci“ — ówczesnej sztuki Bertolda Brechta.

DONALD



Niby recenzja

„MADAME DE...“

Przykre, ale w wypadku filmu takiego jak „Madame de...“ recenzent nie ma właściwie nic do roboty. Streszczać nie wypada, analizować nie ma co... Pozostaje zatem: polecić film widzom, albo też nie polecić...

Tu jednak — zagadnienie troszeczkę się komplikuje.

Jeśli film „Madame de...“ należy do kategorii II-giej — tak zwanej „B“ — gdzie problem wartości artystycznych, humanistycznych, a nawet dydaktycznych nie istnieje — to chyba nie ma sensu wprowadzanie różnic: lepszy — gorszy.

Oczywiście, gdy zakładamy, że recenzent ma kształtować tzw. gust szerszego kręgu odbiorców, a film nie jest rażąco szmitrowaty. Jeśli zaś wszystkie filmy kategorii „B“ są jednakowo złe albo — jak kto woli — jednakowo dobre, to nie ma żadnego znaczenia czy przeciętny widz pójdzie na „Madame de...“ czy na „Przedstawienie galowe“ (niedawno wyświetlane w telewizji).

Najmądszniejsze zdaje się w takim wypadku wyjście polecić „400 batów“ lub „Ballade o żołnierzu“.

T. ŻAKOWIECKI